

PROGRAM TELEWIZYJNY NA TYDZIEŃ

● Doktorat dla Kohla ● Senator z Podlasia ● Michnik, Geremek i inni
● Lubartów-miasto Gierka? ● Armia Czerwona w Chełmie ● Japończyk
w Gardzienicach ● Generalowie w służbie sekretarzy

TYGODNIK
WSCHODNI

PL ISSN 0660-8330

relacje

LUBLIN, 16.11-22.11.1989 R.

NR 44

CENA 300 ZŁ

SPOWIEDŹ SENATORA

Zbigniew Dzieciołek

ZMIERZCHAŁO, kiedy wchodziłem do zagrody Trochimiuków w Bielanach. Od pola słychać było warkot nadjeżdżającego traktora. Maszyna wtaczała się powoli na podwórko, ciągnąc za sobą przyczepę pełną ziemniaków. Stała. Z kabiny wysiadł mężczyzna w średnim wieku, ubrany w kufajkę i spodnie-waciaki. Poznałem, mimo zapadającego zmroku. To on, tyle że na przedwyborczym plakacie z Wałęsą, wciśnięty w sztywny gorset garnituru, wyglądał jakoś inaczej. Dostojniej, jak przysły senator Rzeczypospolitej.

— To była najdłuższa droga do fotografa — wspomina półzartem Mieczysław Trochimiuk, kiedy siedzi już wygodnie w fotelach przy filiżance herbaty. — Coś na kształt pielgrzymki do Częstochowy. Wszyscy mówili wtedy o drużynie Wałęsy. Ze bez jego akceptacji nikt nie może kandydować w czerwonych wyborach. Jednak w moim przypadku zdjęcie z przewodniczącym „Solidarności” było raczej rodzajem poparcia, udzielonym przez człowieka o dużym autorytecie moralnym, niż zatwierdzeniem, jak mówili złośliwi. Nigdy wcześniej nie widziałem osobiście Lecha Wałęsy, a tym bardziej on mnie. W Białej Podlaskiej nawet rzecznik prasowy „Solidarności”, Rolników Indywidualnych, Jacek Szymanderski, kandydował do Sejmu dlatego, że myśmy tak chcieli, a nie z polecenia związkowej „góry”. Chociaż wiem, iż rzeczywiście część posłów i senatorów była wyznaczana w Gdańsku. Ale czy partyjnym zabraniał ktoś fotografowania się z generałem Jaruzelskim?

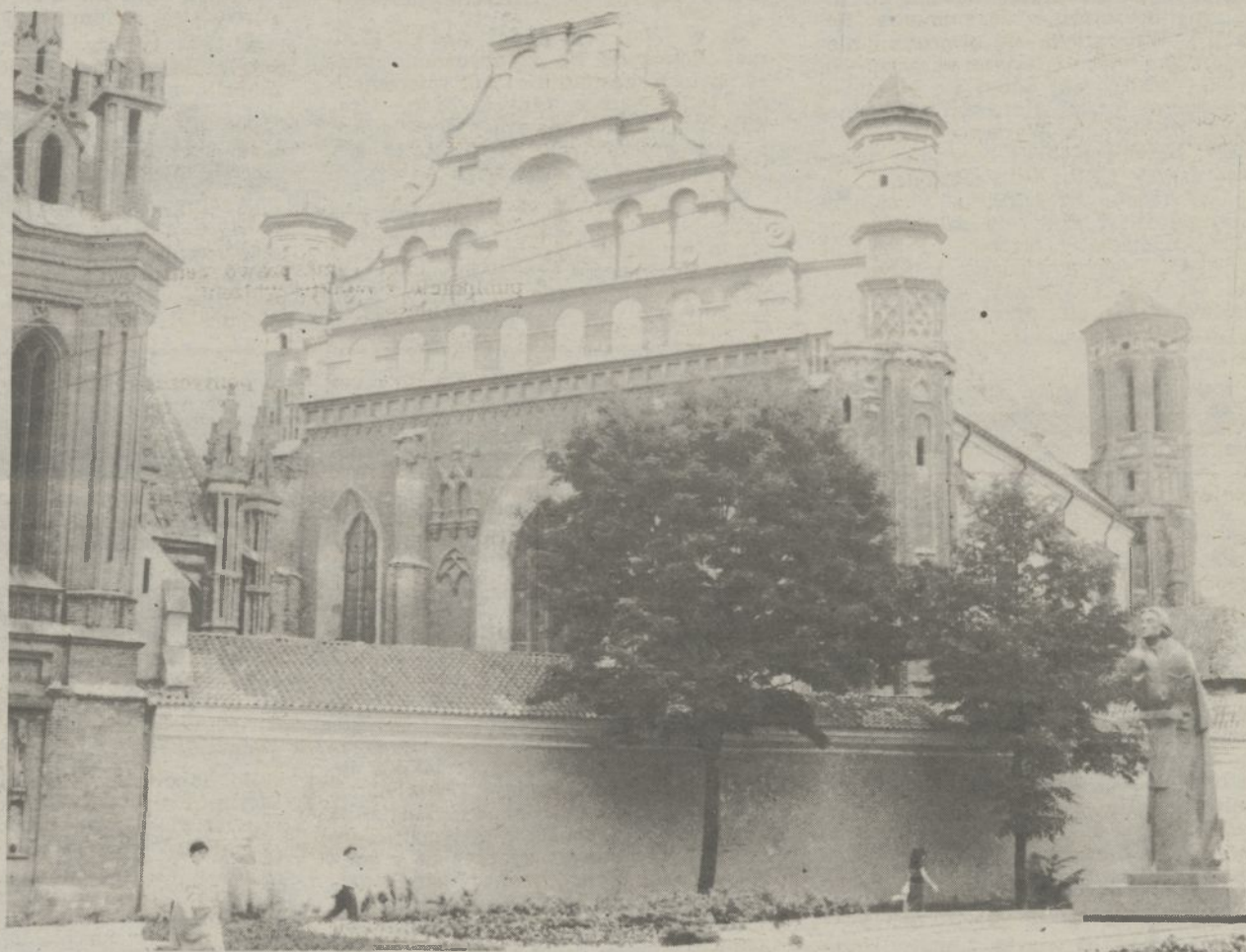
— Jak zwykle politykuje — mówi z uśmiechem żona pana Mieczysława, stawiając na ławie talerze z parującą jajecznicą na skwarkach.

Jemy, a ja rozglądam się ciekawie po pokoju, który dosłownie oblepiony jest książkami, piętrzącymi się na drewnianych półkach. Patrzę na tytuły: „Antologia dramatu amerykańskiego”, „Jesień średniowiecza” Huizingi, „Zarys teorii literatury”, Hłasko, Joyce, Stowacki, Beckett. Czasami tylko mignie jakiś rolniczy poradnik. Dziwny to księgozbiór w chłopskim gospodarstwie. Dziwny dla mnie, ale nie dla gospodarza, który, jak się później dowiedziałem, jest absolwentem filologii polskiej Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego...

Ambicją ojca Mieczysława było wykształcić całą czwórkę dzieci na uniwersytetach. Nie chciał, żeby musiały dorabiać się na roli jak on, jak jego ojciec i dziadek. Mieczysław Trochimiuk sposobił się do stanu duchownego. Marzył, aby zostać misjonarzem gdzieś w Amazonii i nawracać tubylców na prawdziwą wiarę. Takie dziecięce marzenia podsypane przez krewnego-księdza. Po szkole podstawowej wstąpił do Niższego Seminarium Duchownego w Lublinie. Rzeczywistość okazała się jednak bardziej prozaiczna od marzeń. Już po roku nie wytrzymał kościelnego rygoru. Ale wstyd było wycofywać się z raz obranej drogi. Co by powiedzieli na wsi, gdyby tak po prostu uciekł z takiej szkoły?

Z kłopotu wybawił go Józef Wissarionowicz Sztalin. Za panowania Wielkiego Językoznawcy seminarium rozwiązano, uznając je za przeżytek klerykałno-sanacyjnej Polski. Dalszą naukę kontynuował w wisznickim liceum, gdzie dla odmiany wzięli go na kiel ZMP-owcy, usiłując „pomóc” mu nadrobić ideologiczne zaległości. Pamięta akademię poświęconą roli Kościoła w średniowieczu. Miał mówić o tysiącu lat bez wody i mydła. Odmówił. Zapamiętali to odstępstwo. W ankiecie, którą dołączył do podania na studia polonistyczne, napisali, że jest prawą ręką wisznickiego kleru. Oblał egzamin na UMCS. Rok przepracował jako wiejski nauczyciel w czteroklasowej szkole.

Dokończenie na str. 4



Wilno — gotyk św. Anny i pomnik Mickiewicza — str. 6—7, 8—9

Fot. Danuta Rynkiewicz

„UMRZEĆ NIE MOGĘ, BO NIE MAM GDZIE”

Ewa Czerwińska

ZAWALISKO. W nim stara kobieta: — Mój dom koło kapliczki stał. Drzewiany, widzisz pani, ale był. Jak się spalił od pioruna, to kupiłam chałupinę od Szczerbika, kowala. Z sześćdziesiąt lat już ma, albo i więcej. Taka seraja. Zeby to miał kto robić, to było dach ten zwalić, inszy narządzić, a tak huragan przeszedł i wszystko sponiewierał. Ja bez męża 65 lat. Sama, samiutka.

— Choć komin jest, to napalę, bo węgiel mam zeszłoroczni. Spię u dobrych ludzi w komórcie. Tapczan se postawiłam, firanczkę mi zawiesili w oknie. Kota se wzięłam, bo mi się myszka wkradła. Zeby choć piecyk postawić, to by cieplej było, a tak oblikam się, jak mogę. Wpakowało się coś w kulsze, chodzić nie daje.

— Na dzisiaj mam zupeć z grochu. Rozmaite pitruchy tamoj na kominie gotuję, pod niebem. Stary zje co niebądź. Sąsiadka mi zupy da, albo co inszego. Pożywię się. Zeby choć do szpitala wzięni na troche, na schyłku spożyć. 90 lat mam.

Komórka z pustaków. Zwyczajny magazyn na narzędzia, działkowiczów z Lublina. W środku tapczan z piernatami, nad nim kawałek maty, pod ścianami dobytek właścicieli. Święte obrazki. Na skrzynce leki, słoiki, butelka, a w piej zasuszone kwiatki. Zimno.

— Tu niech se pani przysiądzie — stara kobieta odgarnia łachy na tapczanie. Naprzeciwko kolorowa święta rodzina pod szkłem. — Jak te wichry przeszły i chałupę zawaliło, to wzięła mnie córka, co mieszka tutaj w Jawidzu. Ją dawałam pieniądze, rente przeciw mam, tera 30 tysięcy. Jak dawałam, to było dobrze. Jak nie, to zaraz wszystko było na nic. Jak ja się dopominała o trzewiki, to nalala wody, dobrze, że choć niegotowanej, bo by mnie poparzyła. I ubliżała na mnie. Słoikami rzucała, ale mnie nie trafiła. Obrazy przez okno wyrzuciła. O, te, I wygnana jak psa.

— Ja jej gadam: ja cię piersią wykarmiłam, a ty?... A ona: ty cholero, ty mnie piersią karmiłaś, ty?!

Dokończenie na str. 4—5

relacje

ZE ŚWIATA

Przemiany w NRD zachodzą w tempie zaskakującym i polityków i zwykłych zjadaczy chleba. W niedzielę, 5 listopada, Egon Krenz zapelował do młodych, by pozostali w kraju. Zapowiedział też liberalizację warunków wyjazdu do RFN. W poniedziałek, 6 bm., odbyły się potężne demonstracje m.in. w Lipsku, Halle, Magdeburgu i Dreźnie. We wtorek, 7 bm., rząd podał się do dymisji. W środę, 8 bm., zgłosiło dymisję Biuro Polityczne KC NSPJ, biorąc w ten sposób odpowiedzialność za sytuację w NRD. Odeszło wielu współpracowników poprzedniego I sekretarza KC, Ericha Honeckera. Do Biura wszedł m.in. Hans Modrow, szef organizacji partyjnej w Dreźnie, znany z reformatorskich postaw i poglądów. W czwartek władze NRD podjęły decyzję o otwarciu granicy z RFN. W Berlinie, w okolicach muru berlińskiego, zaczęły gromadzić się tłumy mieszkańców Berlina Wschodniego i Zachodniego. Berlińczycy zaczęli rozbiierać mur. (O murze berlińskim pisaliśmy obszernie w 28. numerze „Relacji”). Wytworzyła się atmosfera nieustannego wiecu i festynu zarazem. Na wielki wiec, jaki odbył się w piątek wieczorem przed Ratuszem Schoenberg, przybył z Warszawy kanclerz RFN, Helmut Kohl, i honorowy przewodniczący SPD, Willy Brandt.

Wydarzenia w NRD i w samym Berlinie świat śledzi z zainteresowaniem, nadzieją i obawą. Prezydent USA, G. Bush, powiedział, że wyobrażał sobie taką sytuację, ale nie spodziewał się, że przyjdzie ona tak

szybko. Sekretarz stanu USA, J. Baker, stwierdził, że jest to „początek nowego świata”. Rzecznik prasowy ZSRR, Gierasimow, oznajmił w Moskwie, że „granica nie zniknęła wraz ze zmianą zasad podróżowania”. W. Brandt wyznał: „Dziękuję Panu Bogu, że dał mi doczekać tego dnia”. Hans-Dietrich Genscher oświadczył, że RFN nie występuje z inicjatywą tworzenia nowego państwa niemieckiego.

Sytuacja w NRD była przedmiotem sobotnich obrad bońskiego gabinetu, w których wziął udział H. Kohl przed swoim powrotem do Warszawy. W niedzielę w Berlinie Zachodnim odbywały się w operze i filharmonii koncerty specjalne dla wszystkich mieszkańców Berlina Wschodniego, a dla młodzieży zorganizowano wielki koncert muzyki rockowej. Świat mówi, że żegnamy Europę starych podziaków, a witamy Europę niepewności. W berlińskim murze powstało pięć nowych przejść łączących podzielone miasto.

Komunistyczna Partia Litwy pragnie oderwać się od KPZR — poinformowało radio moskiewskie.

Parlament Estonii przyjął rezolucję o nielegalności aneksji Estonii w 1940 roku.

W Workucie nadal strajki. Górnicy domagają się zrealizowania także swoich postulatów politycznych, a nie tylko ekonomicznych. M.in. oczekują zniesienia konstytucyjnego zapisu o kierowniczej roli partii. Z 13 kopalń Workuty pracuje tylko 4.

Rada Najwyższa ZSRR zatwierdziła budżet. Zostały w nim zmniejszone wydatki na cele obronne i nakłady na inwestycje, dzięki czemu deficyt wynoszący 120 miliardów rubli zmniejszony będzie o połowę.

Bank Państwowy ZSRR wprowadził obniżony kurs rubla w stosunku do walut wymienialnych. Przed decyzją o zmianie kursu, za dolara płacono 67 kopiejek, po decyzji prawie dziesięciokrotnie więcej: 6 rubli i 26 kopiejek. Kurs stosowany będzie przy wyjazdach służbowych i prywatnych.

Moskiewska fabryka maszyn, produkująca urządzenia dla przemysłu spożywczego, gotowa jest rozpocząć działalność na zasadach tzw. akcjonariatu pracowniczego. Siedmiusetosobowa załoga ma stać się akcjonariuszami, a pieniądze na ten cel gotów jest wyasygnować bank. Kredyt bankowy obciążony będzie tylko 4-procentowymi odsetkami w skali rocznej. Do przeprowadzenia podobnej operacji gotowa jest moskiewska fabryka gumowych wykładzin podłogowych. U nas trwa dyskusje o akcjonariacie pracowniczym.

Zbigniew Brzeziński udzielił wywiadu moskiewskiej „Prawdzie”. Powiedział w nim m.in.: „rząd radziecki zorganizował mi wyjazd do Katynia. [...] Mam wyrobiony pogląd na to, kto ponosi odpowiedzialność za Katyń. Mówiłem o tym publicznie w wywiadzie dla telewizji radzieckiej, amerykańskich środków masowego przekazu i przedstawicielom prasy polskiej”.

1300 tysięcy tajnych dokumentów z okresu władzy radzieckiej zgromadziło archiwum polityki zagranicznej ZSRR. Uczni i dziennikarze będą mogli uzyskać do nich dostęp po przyjęciu ustawy o archiwach i tajemnicy państwowej. Projekt ustawy jest już przygotowany — zapewnił dyrektor archiwum polityki zagranicznej.

Jaki będzie socjalizm finansowany przez kraje imperialistyczne? — spytał przywódca rumuński na ostatnim plenum KC RPK, związanym z przy-

gotowaniami do kolejnego zjazdu Rumuńskiej Partii Komunistycznej. Partia ta liczy 3,8 mln członków (Rumunia — 23 mln mieszkańców).

Za warszawską telewizją (DTV z 10 bm.) informujemy, że w stolicy Rumunii jej mieszkańiec ma prawo nabyć w ciągu miesiąca 10 jaj, 1 kostkę masła, 1 kg mięsa i ćwierć kilograma wędlin.

Preparat „HD-88”, opracowany w Katedrze Mikrobiologii AM w Płowdiewie (Bułgaria), jest nową nadzieją w walce z rakiem. Praca nad preparatem trwała 30 lat. Pierwsze doświadczenia przeprowadzono w 1958 roku. „HD-88” polepsza ogólny stan chorego, zwalnia tempo rozwoju procesu rakotwórczego, a nawet całkowicie go zatrzymuje. Tak przynajmniej twierdzą twórcy preparatu: profesor S. Chadźjew i docent J. Kawalkiew-Dimitrow.

Światowa Organizacja Zdrowia podała, że w październiku zarejestrowano 4340 nowych przypadków zachorowań na AIDS. Z tego samego źródła pochodzi informacja, że ujawnionych przypadków zachorowania na AIDS zarejestrowano już 186 803.

Rada ministrów spraw zagranicznych „dwunastki” zatwierdziła w Brukseli propozycje komisji EWG służące wsparciu procesu reformowania gospodarki w Polsce i na Węgrzech. Szefowie dyplomacji państw EWG wyrazili zgodę na zniesienie od 1 stycznia 1990 roku ograniczeń ilościowych stosowanych wobec polskich i węgierskich towarów eksportowanych do krajów wspólnoty.

Konferencja Kongresu USA zaaprobowwała pakiet propozycji w sprawie pomocy dla Polski i Węgier w roku 1990. Wartość tej pomocy ustalono na 533 miliony dolarów, czyli prawie dwa razy więcej, niż to przewidywano w projekcie rządowym.

relacje

Z KRAJU

Wydarzeniem ubiegłego i bieżącego tygodnia była wizyta w Polsce Helmuta Kohla, kanclerza RFN. Wydarzenia w NRD i przerwa w wizycie nie miały wpływu na jej rangę, ale przydały jej dodatkowych aspektów.

Bezpośrednio przed wizytą Bundestag przyjął ogromną większość głosów wniosek stwierdzający, że Niemcy nie będą „ani dziś, ani w przyszłości” kwestionować „prawa narodu polskiego do bytu w bezpiecznych granicach” i że „nienaruszalność granic jest fundamentem pokojowego współżycia w Europie”. Za wnioskiem głosowało 400 posłów, 4 było przeciw, 33 wstrzymało się od głosu.

Również przed wizytą, 7 bm. w Urzędzie Prezydenta RFN w Bonn przekazana została odpowiedź prezydenta W. Jaruzelskiego na pisanie prezydenta RFN R. von Weizsäckera z okazji 50. rocznicy wybuchu II wojny światowej.

W badaniach opinii publicznej, przeprowadzonych w br. w RFN — 81 procent społeczeństwa zachodniemieckiego uznało za trwałą zachodnią granicę Polski. Jest to sporo więcej niż we wcześniejszych sondażach.

Wizyta rozpoczęła się w ubiegły czwartek. Obsługiwało ją około 900 dziennikarzy, a kanclerzowi towarzyszyli m.in. wicekanclerz, minister spraw zagranicznych Hans-Dietrich Genscher i ponad 70-osobowa grupa posłów, przemysłowców, ludzi kultury i działaczy społecznych.

W czwartek odbyły się rozmowy pomiędzy Kohlem i premierem T. Mazowieckim; podczas rozmów kanclerz RFN przekazał premierowi rządu polskiego list omawiający szczegółowo zasady pomocy gospodarczej dla Polski. Mówiono o nienaruszalności granic w Europie.

W piątek, w drugim dniu wizyty, podpisano pięć umów międzynarodowych i dwie międzyresortowe. W godzinach porannych szef rządu RFN złożył kwiaty na płycie Grobu Nieznanego Żołnierza, pod pomnikiem warszawskiej Nike i u stóp pomnika bohaterów warszawskiego getta; złożył też kwiaty na grobie nieznanego żołnierza niemieckiego, pochowanego na Cmentarzu Północnym w Warszawie. Pod wpływem wiadomości napływających z NRD — kanclerz Kohl przerwał wizytę. Przed odlotem powiedział: „Zo-

baczymy się za 28 godzin. Proszę przeprosić pana prezydenta. Nie wziąłem z sobą nawet bagażu”.

W sobotę H. Kohl powrócił do Warszawy. W niedzielę przed południem kanclerz RFN wziął udział w mszy świętej pojednania, odprawionej w Krzyżowej, na dziedzińcu pałacu hrabiiego H. von Moltke, wybitnego działacza opozycji antyhitlerowskiej skupionej w Kreisaukreis. Telewizja polska transmitowała tę uroczystość religijną, a przekazanie znaku pokoju pomiędzy H. Kohlem i T. Mazowieckim było chyba najwymowniejszym symbolem sensu spotkania i nabożeństwa w Krzyżowej.

Z Krzyżowej kanclerz udał się do Częstochowy. Na Jasnej Górze oddał hold św. Maksymilianowi Kolbe i modlił się w jasnogórskiej bazylice. W niedzielę wieczorem spotkał się z prezydentem Wojciechem Jaruzelskim. Mówiono m.in. o normalizacji i rozwoju stosunków dwustronnych na gruncie układu Polska — RFN z 1970 roku, o nienaruszalności granic w Europie i poszanowaniu integralności terytorialnej państw, a także o problemie odszkodowań dla ofiar hitlerowskich zbrodni i dla robotników przymusowo pracujących w Rzeszy.

W poniedziałek, kiedy ten numer „Relacji” oddajemy do druku, rozpoczynają się w Katolickim Uniwersytecie Lubelskim uroczystości związane z nadaniem kanclerzowi RFN doktoratu honoris causa tej uczelni.

W całym kraju odbyły się uroczystości związane z 71. rocznicą odzyskania przez Polskę niepodległego bytu narodowego. Na płycie Grobu Nieznanego Żołnierza w Warszawie wieńce od narodu złożył: prezydent W. Jaruzelski, marszałek Senatu A. Stelmachowski, premier T. Mazowiecki i wicemarszałek Sejmu T. Fiszbach. Wieczorem w Filharmonii Narodowej odbył się uroczysty koncert z udziałem wybitnych solistów, prowadzony przez K. Korda.

W polskich kościołach — jak kraj długi i szeroki — odprawiano msze w intencji ojczyzny, pod pomnikami składano kwiaty.

W naszym makroregionie Święto Niepodległości uczczono na akademiach, uroczystych sesjach, na zgromadzeniach ludności przy pamiątkowych obeliskach i pomnikach, na uroczystościach religijnych.

W sobotę, 11 listopada, w katedrze lubelskiej odprawione zostało uroczyste nabożeństwo w 71. rocznicę odzyskania niepodległości przez Polskę. Msza św. celebrowana była przez bp. ordynariusza lubelskiego B. Pyłaka, a podniosłą patriotyczną homilię wygłosił ks. rektor M. Brzosowski. Modlitwę

wiernych odczytała ppor. Z. Kietlińska — „Bogusia”, instruktorka szyfrantek lubelskiego okręgu AK. W czasie nabożeństwa dokonano poświęcenia sztandaru 6. szwadronu b. żołnierzy Armii Krajowej, walczących w okresie okupacji w ramach odtwarzanego 8 pp leg. AK. Rodzicami chrzestnymi szandaru byli: ppor. E. Wachowska — „Emilia”, z-ca kierownika łączności okręgu AK Lublin, oraz adiutant ostatniego decy 8 pp, ptk. E. Jasińskiego — „Nurta”, zamordowanego na Zamku lubelskim w 1945 r. por. F. Rzączyński — „Tomasz”. Okupacyjne dzieje 8 pułku przedstawił ppor. Cz. Linkowski — „Tom”.

Po nabożeństwie licznie zebrani uczestnicy uroczystości pochodem przeszli na Plac Litewski, gdzie złożono w imieniu społeczeństwa Lublina wieńce i wianki kwiatów na Grobie Nieznanego Żołnierza i przed pomnikiem Konstytucji 3-go Maja. Przemówienia do zebranych na placu tłumów lublinian wygłosili: senator A. Stanowski oraz posłowie K. Czerwiński i T. Mańka.

Uroczystości te, zorganizowane przez lubelski Komitet Obywatelski i oddział okręgowy Stowarzyszenia Żołnierzy AK, stanowiły główny akcent obchodów Święta Niepodległości w Lublinie.

W Watykanie odbyły się uroczystości kanonizacyjne Agnieszki Czeskiej z królewskiego rodu Przemyslińców i brata Alberta, Adama Chmielowskiego, uczestnika Powstania Styczniowego, malarza, a potem opiekuna ubogich, założyciela zgromadzeń Albertyńskich posługujących ubogim. W uroczystości wzięła udział liczna pielgrzymka wiernych z Czechosłowacji (ok. 10 tys.), a telewizja czechosłowacka po raz pierwszy w dziejach przeprowadziła bezpośrednią, półtoragodzinną transmisję z Watykanu. W uroczystościach licznie uczestniczyli także pielgrzymi z Polski; my poznaliśmy na ekranie siostrę Elgię, przełożoną domu przy ul. Ogrodowej w Lublinie, i siostrę Konradę, niegdyś znakomitą aktorkę lubelskiego teatru. Prowadzący transmisję J. Ambroziewicz o bracie Albercie powiedział: „gdymy działał na Zachodzie — pisano by o nim monografię we wszystkich językach”.

Lech Wałęsa udał się w podróż do Ameryki. Wizytę rozpoczął od Kanady, gdzie spotkał się z działaczami politycznymi i związkowymi, z ludźmi biznesu i ze środowiskami polonijnymi, a także z premierem Kanady. Następnym etapem podróży to USA, a potem Wenezuela.

6 listopada obradowało w Warszawie XVI Plenum KC PZPR. Rozpatrywano na nim projekty dokumentów programowych, założenia statutowego modelu partii i problemy związane z procedurą wyboru delegatów na XI Zjazd partii. Plenarne posiedzenia, związane z przygotowaniem do XI Zjazdu, odbyły w ubiegłym tygodniu wojewódzkie organizacje partyjne w Białej Podlaskiej, Chełmie, Lublinie i Zamościu.

Izabella Cywińska przyjęła państwa Porczyńskich, ofiarodawców wspaniałej kolekcji malarstwa. Minister Cywińska zdecydowała, że miejscem eksponowania „Kolekcji Porczyńskich” będzie dotychczasowa siedziba Muzeum Historycznego Polskiego Ruchu Rewolucyjnego, a zbiory tego muzeum przeniesione zostaną do warszawskiego Muzeum Lenina.

Barbara Piasecka-Johnson poinformowała na konferencji prasowej w Strasburgu o zamiarze utworzenia w Polsce pierwszego banku z kapitałem zagranicznym. Bank taki wspierałby swoimi kredytami rozwój sektora prywatnego w Polsce.

CENA „RELACJI”

Tygodnik nasz kosztuje 300 złotych. Za tę kwotę dziś (jutro już nie gwarantujemy) można kupić na przykład:

- ♦ W sklepie monopolowym 13,57 grama wódki „Popularnej”, 11,49 grama wódki „Delikatesowej”, 12,34 grama wódki „Stołowej”, 37,5 grama wina owocowego, zaś w restauracji 9,37 grama wódki „Stołowej”, 9,6 grama piwa czechoskiego „Ostrawa”, 16 gramów piwa „Perla”.
- ♦ W sklepie „Polmozbytu” srożeń do syreny.
- ♦ W kwiaciarni jeden cięty cyklamen.
- ♦ W sklepie z artykułami gospodarstwa domowego jeden spinacz do bielizny
- ♦ W kiosku „Ruchu” 2,5 biletu MPK lub tygodnik „Relacje”.

KOMUNIKAT

Lubelskie Wydawnictwo Prasowe informuje, że dalszy wzrost kosztów wydawania „Relacji” — niezależnych od wydawcy — powoduje konieczność zmiany ceny pisma od bieżącego numeru na 300 zł za egzemplarz.

Prenumeratorki będą otrzymywać tygodnik po dotychczasowej cenie do końca okresu, na który została przyjęta prenumerata.

DOKTORAT HONORIS CAUSA KUL DLA HELMUTA KOHLA

ROZMOWA Z KS. PROF. DR. JOACHIMEM KONDZIELĄ,
DZIEKANEM WYDZIAŁU NAUK SPOŁECZNYCH KUL

— Jakimi motywami kierowała się Rada Wydziału Nauk Społecznych Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, nadając godność doktora honorowego Helmutowi Kohlowi, kanclerzowi RFN?

— Uniwersytet nadaje doktoraty honoris causa nie tylko znakomitym uczonym, ale również wybitnym przedstawicielom życia społecznego i kulturalnego, w tym także i politykom.

Czyniąc kanclerza Helmuta Kohla laureatem tej najwyższej godności honorowej uniwersytetu, kierowaliśmy się głównie trzema przesłankami.

Po pierwsze, wzięliśmy pod uwagę, że formacja osobista kanclerza jest formacją katolicką, leży więc w profilu naszej uczelni. Będąc jedną z najwybitniejszych współczesnych osobistości politycznych, kieruje się on w swym działaniu wskazaniami nauki społecznej Kościoła, według której zaangażowanie się w życie polityczne jest moralnym obowiązkiem chrześcijanina, a politykę należy podejmować w poczuciu chrześcijańskiej odpowiedzialności. Helmut Kohl szczególnie kieruje się zasadami dobitnie podkreślanymi przez

posoborowy Kościół, ostatnio wyłożonymi przez Jana Pawła II w dokumencie „Christi fideles laici”.

Przesłanka druga uwypukla rolę kanclerza Kohla w procesie pojednania między narodami, w tym także pojednania z Polską. Już kanclerz Adenauer, którego w przeszłości nasza propaganda przedstawiała jednoznacznie negatywnie, miał w planie doprowadzenie Niemiec do pojednania z narodem żydowskim, a także z Francją i Polską. Nie starczyło mu czasu politycznego i życia na zrealizowanie tego ostatniego celu. Zadanie to w sposób zdecydowany podejmuje kanclerz Kohl, reprezentujący CDU, tę samą partię polityczną. W czasie mego pobytu w RFN przed kilkoma dniami usłyszałem od polityka z bardzo bliskiego otoczenia Helmuta Kohla, że nasz kraj nie jest dla kanclerza sprawą koniunkturalną, lecz istotną częścią jego misji politycznej. Powiedziano mi, że Polska i jej problemy naprawdę głęboko leżą kanclerzowi na sercu.

I trzecia przesłanka. Nie ulega kwestii, że Helmut Kohl jest obecnie jedną z najważniejszych postaci życia

politycznego Europy. Należy do konstruktorów Europy współczesnej, ale także w decydujący sposób wpływa na kształt Europy przyszłości. Jest on człowiekiem, który wiele robi na rzecz zjednoczenia Europy. Kierując się realizmem politycznym, nie ogranicza on wizji przyszłości tylko do Europy Zachodniej, lecz rozszerza ją na Środkową i Wschodnią. Zdaje on sobie doskonale sprawę, że pomoc dla objętej obecnie kryzysem Europy Środkowej i Wschodniej jest wkładem na rzecz budowy wspólnego europejskiego domu bez wojen i konfliktów zagrażających pokojowi.

— Czy w motywacji uchwały Rady Wydziału nawiązywano do osobistych więzów kanclerza Kohla z KUL-em?

— Nie braliśmy tego rodzaju argumentów pod uwagę. Zdajemy sobie sprawę z tego, że nasza uczelnia jest dla kanclerza czymś więcej niż uniwersytetem. Katolicki Uniwersytet Lubelski ma bowiem wymowę szczególnego symbolu. W ciągu powojennych dziesięcioleci był on w naszym kraju ostoją wolności myśli i wolności przekazywania wiedzy. Helmut Kohl odwieczał uniwersytet, z którym identyfikuje się światopoglądowo, zaś hołd oddany wolności twórczej oznacza utożsamianie się z dziedzictwem europejskim. Chociaż niedaleko Bugu, Lublin leży w sercu Europy, a Katolicki Uniwersytet Lubelski ma przez swój uniwersalizm wymowę znacznie większą i bogatszą, niż tylko narodową.

Uniwersytet nasz, niewątpliwie bliski kanclerzowi, jest od lat kuźnią katolickiej nauki społecznej. Była ona tu uprawiana przez kard. Wyszyńskiego i pogłębianą w wymiarze etycznym przez

kard. Wojtyłę. Ta myśl społeczna przetrwała na katedrze uniwersyteckiej dzięki prof. Strzeszewskiemu, a także dzięki jego uczniom, do których grona mam zaszczyt się zaliczać. Nasze dokonania są bardzo dobrze znane i cenione w świecie i właśnie w tej dziedzinie od lat współpracujemy z Fundacją Konrada Adenauera, w której kanclerz Helmut Kohl pełni rolę przewodniczącego Rady.

— W ostatnich latach doktorat honoris causa KUL otrzymało grono wybitnych postaci, między innymi Jan Paweł II, kardynałowie Willebrans i Ratzinger, Zbigniew Brzeziński. Przyjęcie przez nich tej godności niewątpliwie podnosi rangę uniwersytetu. Podczas ostatniego pobytu w RFN książę dziekan zapewne konsultował sprawę nadania tej godności kanclerzowi Kohlowi. Jaka była reakcja na tę propozycję?

— Mój 9-dniowy pobyt w RFN miał na celu odbycie rozmów z czołową grupą przedsiębiorców katolickich. Oprócz zjednamia ich dla większego zainteresowania się współpracą gospodarczą z polskimi przedsiębiorstwami, starałem się pozyskać ich zainteresowanie powołaną przez Księżka Prymasa Fundacją Rozwoju Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego.

Nie mogliśmy obecnie podjąć naszej uchwały, nie więdząc, jak zostanie przyjęta przez zainteresowanego. Konsultacje były kończone. Mogę tylko powiedzieć, że kanclerz Helmut Kohl uważa za wielki zaszczyt znaleźć się w gronie doktorów honorowych naszej uczelni.

— Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał: Adam Wierzbicki

SOLIDARNOŚĆ '89

Zbigniew Dzieciołek

WDNIACH od 4 do 10 listopada br. obradowało w Łęcznej II Międzynarodowe Seminarium Związkowe, zorganizowane przez Tymczasowy Zarząd Regionu Środkowo-Wschodniego NSZZ „Solidarność”. Do Łęcznej przyjechał związkowiec z całej Polski oraz zaproszeni przedstawiciele zagranicznych central związkowych.

Cykl wygłoszonych referatów, jak i dyskusje toczące się na sali obrad i w kularach, zdominowało pytanie o miejsce i kształt „Solidarności” w procesie zachodzących w Polsce i w Europie przemian. Wszyscy byli zgodni co do tego, że związek musi być inny niż w 1981 roku. Ze strajkiem, który był wówczas jednym z podstawowych argumentów w przetargach politycznych, niewiele dziś można zmienić na polityczno-gospodarczej mapie Polski. Ale pytanie: „Jaki?” pozostało do końca obrad otwarte.

Inauguracyjny wykład wicemarszałka Senatu, Andrzeja Wielowiejskiego („Związek zawodowy — rewindykacyjny czy współrzędzący”), nieco rozczarował uczestników seminarium. Poza kilkoma ogólnikami o roli związku w przekształcaniu organizacji pracy i stosunków międzyludzkich oraz konieczności porozumień społecznych, nie dostarczył żadnych konkretnych rozwiązań. Oczekiwano m.in., że marszałek przedstawi zamierzenia rządu dotyczące funkcjonowania zakładów pracy. Brak bowiem, mówili związkowcy przed wykładem, jasnych reguł gry w sprawach zarządzania przedsiębiorstwem, co uniemożliwia im współdziałanie w decydowaniu o polityce zakładów.

A. Wielowiejski naszkicował jedynie tendencje rozwojowe „Solidarności”, która, jego zdaniem, w nowych strukturach społeczno-gospodarczych powinna ewoluować w kierunku współzarządzania. Mówił również o sytuacji na Zachodzie, gdzie wraz z wzrostem potęgi gospodarzy państw i zarobków pracowników maleje znaczenie związków zawodowych. Również natomiast liczba właścicieli akcji różnych przedsiębiorstw, którzy już teraz stanowią 30–40 procent zachodnich społeczeństw. W polskich realiach jednak, podsumował Andrzej Wielowiejski, jeszcze długo potrzebny będzie silny i mądry ruch związkowy, który winien inicjować oddolnie przemiany polityczno-gospodarcze.

Głosy w późniejszej dyskusji nie zawsze były zgodne z tym o czym mówił marszałek.

Posel Ignacy Czezyk stwierdził, że trudno jest ustalić granicę między rewindykacją a współzależnością. „Władza bowiem nie jest jeszcze w naszych rękach. My mamy jedynie na nią wpływ, a związki i komitety obywatelskie ciągle pozostają w opozycji”.

Replikował Zygmunt Łupina: „Przeistnieją pielęgnować etos opozycji. Bierzmy władzę w swoje ręce. Postawa wiecznego opozycjonisty jest próbą tłumaczenia wielu naszych braków czy po prostu zwykłego lenistwa”.

Gość z Francji, Antoine Fabian (Związek Zawodowy Pracowników Chrześcijańskich — CFTC), mówił, na przykładzie swojego związku, o problemach, które staną przed „Solidarnością”, jeżeli Polska pójdzie za-

chodnią drogą przemian. „Trudno jest mówić o rewindykacyjnych zadaniach związku — tłumaczył A. Fabian — kiedy 40 procent akcji danego przedsiębiorstwa należy do jego pracowników”. W sytuacjach ekstremalnych — zwolnienia ludzi z pracy z powodu wprowadzenia nowoczesnych technologii — związek nadzoruje jedynie, aby wszystko odbywało się zgodnie z zasadami humanitaryzmu. Nie może sobie pozwolić na negację decyzji o zwolnieniu, jeżeli prowadziłoby to do ekonomicznego osłabienia zakładu.

Kontynuacją tej dyskusji były późniejsze o kilka dni wystąpienia Andrzeja Lulka („Związek zawodowy w przyszłej strukturze własności gospodarki narodowej”) i Michała Zielińskiego („Związek zawodowy wobec przeobrażeń mechanizmu gospodarczego”). Szkoda, że organizatorzy seminarium nie pomyśleli, aby połączyć w tym samym dniu oba te referaty z wystąpieniem marszałka Wielowiejskiego.

„Jeżeli świadomi trudów i niebezpieczeństw, zdecydujemy się jako społeczeństwo wkroczyć na drogę rynkową — mówił M. Zieliński — to ważnego charakteru nabiera pytanie o to, jak ma zachować się związek. Wprawdzie to „Solidarność” zapoczątkowała i poparła obecne przeobrażenia, ale kiedy przechodzimy od ogólnikowych deklaracji do konkretów, sprawa przestaje być taka jednoznaczna. Trzeba mieć bowiem świadomość, iż dzisiaj (jeszcze dzisiaj) żadne zmiany bez aktywnego poparcia „Solidarności” w Polsce dokonają się nie mogą. Równocześnie jednak szereg konkretnych działań związku (i nie chodzi mi tu o jednostkowe „bunty” organizacji zakładowych) w istocie blokuje togo typu zmiany. Osławiona „ponadpełna” indeksacja wszelkich dochodów jest przykładem takich działań. Konieczność poparcia drogi do kapitalizmu jest warunkiem istnienia „Solidarności” jako związku zawodowego, a ściślej mówiąc jest warunkiem stania się dopiero związkiem zawodowym. Jeżeli bowiem przyjmemy, że związek zawodowy to zrzeszenie pracobiorców jednego rodzaju, mające na celu zwiększenie ich siły przetargowej w negocjowaniu z pracodawcą ceny i warunków pracy, to „Solidarność” takim związkiem nie była i tak dotychczas nie jest. Definicja ta czyni również retorycznym tytułowe pytanie seminarium, gdyż istotą związków zawodowych jest ich rewindykacyjny charakter. „Solidarność” zaś w przyszłej wolnej Polsce, z wolnym rynkiem i wolną grą sił politycznych, ma do spełnienia kilka konkretnych zadań. Po pierwsze, widzę ją jako „matkę partii”, czyli miejsce, które pozwoli na wyodrębnienie się różnych nurtów politycznych. Po drodze niejako są do spełnienia dwa ważne zadania: utworzenie systemu demokracji lokalnych oraz edukacja zachowań w instytucjach demokratycznych. Po spełnieniu tych zadań „Solidarność”, jako ruch społeczny, po prostu obumarze, nie będąc w tej postaci nikomu potrzebna. Po drugie, widzę „Solidarność” jako ruch ekonomiczny, który może i powinien przyspieszyć upowszechnianie indywidualizowanej własności. Jako siła polityczna jest w stanie wynegocjować korzystne dla pracowników zasady uwłaszczenia, tworzące w miarę powszechny akcjonariat pracowniczy. Może również pełnić funkcję

edukacyjną czy nawet finansowo-wspomagającą. Po trzecie, „Solidarność” będzie istnieć jako czysty związek zawodowy”.

O sprzeczności między współzarządzaniem a samą ideą związku zawodowego mówił również A. Lulek, stwierdzając, że o ile funkcja rewindykacyjna występuje dotychczas i będzie aktualna w przyszłości, o tyle funkcja współzarządzająca była realizowana w sposób jak najbardziej widoczny przez CRZZ. Bowiem współzarządzanie przez związek oznacza wmontowanie go w system sterowania gospodarką, a więc instrumentalne podporządkowanie tej instytucji celom państwa bądź przedsiębiorstwa.

W czasie przerwy w pojedynczych rozmowach, jak również w trakcie późniejszej dyskusji, wystąpienia Zielińskiego i Lulka były niezwykle żywo komentowane.

„Jak można mówić o wolnym rynku, skoro jego praktycznie nie ma? — pytali związkowcy. — Jest taki bałagan gospodarczy, że np. kompletne lożysko jest tańsze niż tulejka będąca jego częścią. My chcemy wiedzieć, jak należy postępować teraz, kiedy cała gospodarka znajduje się jeszcze w rękach komunistów, jak konkretnie przeciwdziałać powstawaniu nomenklaturowych spółek, a nie co należy robić za rok, dwa czy za lat dwadzieścia”.

Bardzo często powtarzano w kularach, że seminarium ma charakter rozważań akademickich, że są to wystąpienia inteligentów-teoretyków, nie mających bezpośredniego kontaktu z przedsiębiorstwami. Adama Stanowskiego, który omawiał etapy ewolucji NSZZ „Solidarność”, zapytano wprost, czy czuje się związkowcem, czy też jako senator myśli wyłącznie kategoriami ogólnopolskimi. Wszyscy delegaci mówili o słabości związku, który jedynie w 30 proc. odbudował swój stan osobowy z 1981 r. Jeżeli „Solidarność” nie zajmie się energiczniej właściwą działalnością związkową w poszczególnych zakładach, komentowali związkowcy obecne poczynania swoich władz, to w niedługim czasie przestanie ona istnieć albo ulegnie rozpadowi. Już dzisiaj mówi się w związku o nieformalnym podziale: „my” w przedsiębiorstwach, „oni” w KKW.

Największe emocje wśród delegatów wzbudził referat prof. Bronisława Geremka pt. „NSZZ Solidarność a ruch komitetów obywatelskich”. Nie zapomniano decyzji Krajowej Komisji Wykonawczej dotyczącej likwidacji wojewódzkiej komisji obywatelskich w kraju. Wprawdzie wycofano się później z tej decyzji, ale odmówiono komitetom szyldu „Solidarności”, rezerwując go jedynie dla związku.

Mówiąc o konieczności funkcjonowania silnego związku zawodowego, B. Geremek stwierdził, że istnieje taka sama potrzeba funkcjonowania komitetów obywatelskich. Polsce potrzebna jest dzisiaj jedność ruchu obywatelskiego i związku przy zachowaniu instytucjonalnego rozdziału funkcji obu tych ciał. Korzyści płynące z takiego układu są wielorakie. Komitety obywatelskie uwalniają związek od działalności stricte politycznej. Ich niepodważalną wartością jest zakorzenienie lokalne, tak jak zakorzenienie związku w zakładach pracy. KO mogą podejmować różnorakie inicjatywy kulturalne, nie oglądając się na „góre”, mogą stanowić oparcie dla postów i senatorów z OKP. I wreszcie najważniejsze na dziś zadanie komitetów obywatelskich to przygotowanie wyborów do samorządu terytorialnego, gdyż prawie cała struktura władzy pozostaje nadal w tych samych rękach. „W sytuacji braku społecznego zaufania do partii politycznych — podsumował szef OKP

Dokończenie na str. 14

SPOWIEDŹ SENATORA

Dokończenie ze str. 1

Kiedyś na wystawie rolniczej w Lublinie oglądał lśniące nowością tokarki. Spodobało mu się. Chciał do FSC na tokarza. Znowu nie wyszło. W dziale personalnym powiedzieli, żeby wracał na gospodarke. Nie chciał. Spróbował jeszcze raz na filologię polską. Tym razem na KUL. Przyjęli. Był rok 1956 i wielki wiek, na którym przemawiali Łupina i Bender. I jeszcze pamięta, jak oddawali krew dla walczących o wolność Węgrów.

Na studiach, oprócz naukowych pasji, aktywnie uczestniczył w życiu studenckiego teatru. W „Norze”, gdzie wystawiali „Orfeusza”, zobaczył po raz pierwszy swoją przyszłą żonę Alicję. Poznali się jednak znacznie później, już po studiach, pracując w Domu Kultury na Zamku.

Ogólny marazm, niemoc robienia czegokolwiek spowodowały, że wrócił na KUL. Już jako opiekun akademickiego teatru. W wolnych chwilach zbierał materiały do pracy doktorskiej. Ale teatr rozlał się między palcami. Brakowało chętnych, próby odbywały się nieregularnie. Zrezygnował. Poszedł na posadę kierownika biura Stowarzyszenia Księgowych. Przewracał papierki przez rok.

Przyszedł w końcu taki dzień — kontynuuje Mieczysław Trochimiuk — w którym odechciałmi się wszystkiego. Praca nie dawała żadnej satysfakcji, a Pigiem, doszedłem do wniosku, nie zostanę. Pisać doktoratu, do którego po piętnastu latach zajrzy jakas studentka, żeby zacytować jedno zdanie, też nie chciałem. Coś mnie ciągnęło z powrotem na wieś, do ziemi. Zawsze lubiłem orać i patrzeć na odkładające się skiby jak plasty miody. Później koń odpoczywa, a ja popalam sobie papierosa na miedzy. Taki wiejski biogostan, o którym czytuje się w książkach.

W 1968 roku wrócił wraz z żoną do rodzinnych Bielan. Razem z ojcem poprowadzili jedenastohektarowe gospodarstwo. Początkowo w ogóle nie myślał o jakichkolwiek zmianach. Chciał tylko przeprowadzić generalny remont mieszkania. Bieząca woda, WC, centralne ogrzewanie. Żeby było normalnie, jak w mieście.

Z początkiem lat siedemdziesiątych spróbował inaczej. Gierkę dawał duże kredyty dla rolnictwa, a wysokotowarowe gospodarstwa uzyskały również preferencje w zakupie maszyn i środków produkcji. Dokupił ziemi, dostał przydział na traktor i rozpoczął budowę pierwszej ovczarni, przechodząc powoli na gospodarke specjalistyczną. To się opłaciło. Niedługo stanęła druga ovczarnia, przybyło znowu ziemi.

Trochimiukiem zaczęła interesować się prasa. Zjeźdździ dziennikarze ze „Sztandaru Ludu”, „Perspektyw”, „Przyjaciółki”. Każdy chciał zobaczyć niedoścignętego naukowca, któremu udało się z baranami. Wszyscy uciekali ze wsi jak najdalej, a on wrócił, po studiach, i ma efekty. Dowiedzieli się o nim w Warszawie. Gospodarke wizytował ówczesny minister rolnictwa Barcikowski, przyjechał nawet sam premier Jaroszewicz. Podziwiali, cmókali z zachwytem, klepali po ramionach. „Złoty wiek” trwał do połowy lat 70. Później zaczęły się kłopoty z paszą, która wędrowała w większości do państwowych gospodarstw rolnych z widocznym dzisiaj efektem.

Koncepcja ówczesnej ekipy rządzącej była prosta — tłumaczy Mieczysław Trochimiuk. — Nie zdolno zapędzić chłopów do PGR i spółdzielni rolniczych, postanowiono więc wykończyć ich ekonomicznie. Sądzono, że preferencje dla dużych, specjalistycznych gospodarstw zmuszą te małe do zrzeszania się w sy-

tuacji nieopłacalności produkcji. Pozostaną tylko wysokotowarowe gospodarstwa, które poprzez sieć różnorodnych powiązań z państwem będą łączyć się w spółdzielnie, a wtedy centralna gospodarka rolna stanie się faktem. To właśnie w owym czasie wprowadzono emeryturę dla rolników za ziemię, przyspieszając tym samym jej przepływ do państwa. Pozbawiono chłopów naturalnego prawa do własności, wyłudzając od nich w ten sposób ziemię, która teraz leży odłogiem.

POD koniec 1980 roku usłyszał Trochimiuk w Wolnej Europie, że chłopci w Polsce organizują się. Podali adres Kęcików w Warszawie. Pojechał zobaczyć, jak to wygląda. Dostał materiały programowe, ulotki, afisze. Nie bardzo jednak wierzył w możliwość istnienia chłopskiego związku. Ale spróbował. Pogadał raz i drugi z miejscowymi chłopami w zlewni. Okazało się, że są chętni, chcą swojego związku. Zaczął jeździć do okolicznych wsiach i w ciągu krótkiego czasu powstało kilka kół, które stanowiły załóżek przyszłej chłopskiej organizacji. Pierwsze zebranie gminne zwołali w Łomazach. Z Warszawy przyjechała Marzena Kęcik.

Po raz pierwszy usłyszeliśmy — opowiada pan Mieczysław — jak ktoś tak otwarcie, bez owijania w bawełnę mówi o komunistycznych rządach w PRL, o czterdziestoletnim prześladowaniu polskiego chłopca. Ludzie klaskali, a co odważniejsi dobrali się do skóry, obecemu na zebraniu, I sekretarzowi partii w gminie. Przypomnieli, jakim to sposobem zwiększał szereg partyjne, przydzielając traktory za legitymacje PZPR. Któryś z rozsiedzonych chłopów wykrzyczał w twarz sekretarzowi, że mu ciągnik już z podwórka zabrali, bo nie chciał wypełnić pezetpeerowskiej deklaracji. Cała sala huczała, a pierwszy nie wiedział, gdzie ma oczy schować.

Ta działalność zaczęła pączkować. W lutym 1981 roku zorganizowali zebranie przedstawicieli wszystkich gmin, które zgłosiły przynależność do związku. Powołali wówczas Wojewódzki Komitet Założycielski NSZZ „Solidarność” Rolników Indywidualnych z siedzibą w Białej Podlaskiej. Trochimiuk został jego przewodniczącym. Niewiele jednak mogli zrobić. Ich legalna działalność trwała zaledwie siedem miesięcy, a i na związkowej „górze”, której szefował Kulaj, sytuacja nie wyglądała najlepiej. Po wprowadzeniu stanu wojennego Jan Kulaj wystąpił w telewizji i spotkał się z prezesem NK ZSL, Romanem Malinowskim. Tak skończyła się kariera człowieka, który był obdarzony szczególną charyzmą, potrafił porwać za sobą tłumy.

Trochimiuka nie internowali, chociaż wizyty Służby Bezpieczeństwa w jego domu zdarzały się niemal co tydzień. Szukali ulotek i związkowego archiwum, które udało mu się schować u jednego z okolicznych rolników. Zawsze też wypytywali, o czym mówią chłopcy i jakie są wśród nich nastroje. Podczas kolejnych „odwiedzin” Trochimiuk nie wytrzymał i powiedział im, żeby założyli podsłuch w zlewni, to dowiedzą się, że chłopcy rozmawiają o przetargach, o tym, co zasiać, i jak związać koniec z końcem. Polityki mieli dosyć i gównem ich obchodziły ulotki i nielegalne zebrania. Nieśmiało próby ponownego zorganizowania się spełzały na niczym. Jedyne duszpasterstwo rolników, istniejące przy kościele, przetrwało „wojenną” zawieruchę.

W LUTYM 1989 roku zaczęli jeszcze raz. Odnaleźli w ukrytym do tej pory archiwum, nazwiska i adresy delegatów z 1981 roku i w Białej Podlaskiej u księży kapucynów odbył się kolejny zjazd

województwa. Trochimiuka wybrali ponownie przewodniczącym, a po „okrągłym stole” zaczęły się, przyspieszone z konieczności, przygotowania do wyborów.

4 czerwca 1989 roku Mieczysław Trochimiuk został wybrany senatorem Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej.

— To tylko tak dumnie brzmi — odziewa się od tytułów Mieczysław Trochimiuk. — Rzeczywiście wygląda mniej pompatycznie. Działalność w Senacie muszę godzić z pracą na 37 hektarach. W ciągu miesiąca jestem w Warszawie od 7 do 10 dni. Dzieci są jeszcze małe, a żona sama nie poradzi sobie na gospodarce. Senatorska dieta, wynosząca 360 tys. złotych, wystarcza mi na opłacenie pomocnika i moje wyżywienie w stolicy.

Dla senatora Trochimiuka najważniejszą sprawą jest opłacalność produkcji rolnej. To podstawa, bez której nie zmieni się niczego na wsi. W Senacie niewiele się o tym mówi, przeznaczając większość czasu na sprawy ustrojowe. Dużo w tym wszystkim zwykłej demagogii, a za mało konkretnego działania. Niedawno w Wolnej Europie któryś z dziennikarzy powiedział, że komuniści odeszli, ale zdążyli podpalić dom. Senat rozprawia o tym, co trzeba będzie zrobić, jak poznać zgasnię, a nie o tym, jak go gasić.

Trochimiukowi brakuje 13 hektarów do zakazanej granicy 50. Powyżej to już obszarnictwo podpadające pod odpowiednie paragrafy dekretu o reformie rolnej, który obowiązuje do dnia dzisiejszego. Dlaczego jeszcze nie zmieniono tego absurdu zakazu, w sytuacji, kiedy tysiące hektarów to bezpańska ziemia? Takich przykładów jest znacznie więcej. Choćby sprawa obrotu ziemią. Rolnik nie może sprzedać części ośmiohektarowego gospodarstwa, bo taka jest norma obszarowa. Może natomiast uprawiać połowę tej ziemi, resztę zostawiając odłogiem. Na to przepisy zezwalają.

W Polsce jest około 300 tys. rolników — wylicza Mieczysław Trochimiuk — którzy ukończyli 65 lat życia i dalej uprawiają ziemię. Minister Kuroń twierdzi, że nie można im dać emerytury, zanim nie przekazają gospodarstw państwu, bo to obciąża budżet. Tak samo tłumaczyli komuniści w latach 70. A przecież prawo do własności jest jednym z warunków wolności człowieka i nikt nie ma prawa pozbawiać go tej własności. Czy taryfiarz oddaje samochód na skarb państwa, kiedy przechodzi na emeryturę?

Cezary Józefiak, przewodniczący senackiej Komisji Gospodarki Narodowej, powiedział, że wszyscy muszą ponieść koszty kryzysu, chłopcy też. Tylko że oszczędności na rolnictwie przyniosą więcej strat niż zysków. Jeżeli np. rząd cofnie dotacje do wapna, to rolnicy przestaną odkwaszać zdegradowane gleby i w efekcie spadnie wydajność z hektara. Już teraz daje się zauważyć odchodzenie od wysokotowarowej produkcji i przechodzenie na gospodarke naturalną, gdyż dochody w wielu przypadkach nie wystarczają nawet na reprodukcję prosta. Nie wszyscy w Senacie dostrzegają te zagrożenia, a mit o senackiej jedności to już przeszłość.

„Solidarność” chłopska, zrzeszająca tylko rolników, nie ma zaplecza intelektualnego — kończy Mieczysław Trochimiuk. — Stąd potrzebą chwili jest stworzenie silnej partii politycznej z możliwością działania w niej inteligentów, którym bliskie byłoby idee agraryzmu.

D NIAŁO, kiedy kładłem się spać w gościnnym pokoju państwa Trochimiuków. Przypomniała mi się wówczas wypowiedź byłego premiera, a obecnie I sekretarza KC PZPR, Mieczysława Rakowskiego: „Gdyby nie partia, wszyscy byśmy krowy pasli”. Szkoda, że tak się nie stało. Może wtedy pogłowie byłoby nie spadałyby o 2 mln sztuk i dzisiaj mielibyśmy żywności pod dostatkiem.

Zbigniew Dzieciołek

Dokończenie ze str. 1

— Ni wnuki, ni dzieci. Nie ma nic.

— Ja bym i Żyda wzięna na komorne. Wiesz pani, ile u mnie komorników było? Teraz nikt nie chce wziąć.

USASIADKI za miedzą dom gwarny. Córka, zięć, wnuki.

— Wnuki są tu, dzieci tam, a ja za przepierzeniem — mówi sąsiadka. — Człowiek starszy musi mieć swój kącik, jak się ma sześćdziesiąt pięć lat i nie ma się gdzie schować, to źle. Jak idę do córki, to puk — puk! Wie się, kiedy można wejść, a kiedy nie. To się rozumie. Jak się jest z młodymi, to się trzeba nie interesować. Jak się zwrócą, to owszem, grzecznie trzeba zapytać: a co ja ci mogę pomóc? Trzeba się liczyć, jak by nie było. Usłyszę czasem: czego tak krzyczysz. Bo mnie się słuch przytyteli... To się obrażę. Ale długo za przepierzeniem nie wytrzymałam, bo nie jestem zawzięta i nie mogę bez ludzi żyć. To posiedzę trochę i idę do kuchni. O, już się babcia przeprosiła — mówi. Ano, przeprosiła się — mówię i śmieję się. A myślę sobie: idę i co! Przecież mnie nie wyrzuca.

— Oleszkową znam, i córkę Oleszkowej. Ale przy kłótni mnie nie było, to nie mogę zeznać. Tyle wiem, co ludzie gadają i babka się zwierzy. Babka mówi, że ją biją, córka, że stara lata po wsi i wszystko rozpowiada, z tyłka robi nie wiadomo co, wtrąca się. Nie powiem, jak potrącona była motorem, to ją córka wzięła. Pogotowie wzywała. Skąd ta nienawiść się bierze — Bóg jeden raczy wiedzieć.

Kobieta pod sklepem:

— Tylko niech pani nie pisze nazwiska, bo jeszcze mnie czym trząsnie. O ziemię chodziło, albo o pieniądze. Córce wszystko przeskądza. Z nikim się nie rozmawia, zła z kośćmi, aż się trząse. To nie jest człowiek normalny. Powinna się cieszyć, że matka żyje. Ja, proszę pani, nie nie rozumiem. Czysta babka

przecież. Halkę z koronką nawet ma. Sama widziałam. I jeszcze bez sklerozy.

— Ja pani powiem: wstyd na całą wieś. Chodziła stara od chałupy do chałupy, żeby ktoś wziął. I może by się kto skusił... Ale żeby babka się nie położyła i nie leżeli. Boją się ludzie, czasu nie ma koło kogoś chodzić.

KAPLICZKA pobielana. Za nią dom z pustaków. Córka:

— Choćbyście mnie pod sąd postawili, do więzienia zamknęli, to drzwi zabiję, a nie wezmę. Tak się rozjadłam, że nie chcę jej znać. Zeby mnie teraz złotem obsypała, to nie dam wejść.

— Szkoły nie dała, ani jednego roku. Prześlubuje, te literki złożę i tyle. Piętnaście lat służyłam u ludzi,

od małego. Na podłodze spałam. Każden co chciał, to mnie wykorzystywał. Miałabyś, pani, serce? Jako matka? Miałabyś?

— Dwóch synów miałam. Ale to nie od tego męża. Od innego...

— A ty cholero! A mnie wszystkie ludzie lubią, a ciebie nie. Ty masz diabła w sobie... Tak mi potrafiła powiedzieć.

— Bida z bidą się pobrała, Matuchno Boska, tośmy z tym mężem po cegiełce zbierali, żeby co swojego postawić. A tu, zaraz, koło kapliczki stara chałupa matki stała. Ta, co się spaliła. Tośmy na czas budowy chcieli u niej pobyc. A ona: won, sp... bo to nie twoje. Pani, nie dała garnka na kominie postawić! Wygnała. Ty bykownie gotujesz, żeby ci w nocy stała...

— Gotowałam na dworze. Potem spaliła się ta chałupa. Ojoj! To ja: pomalutku kupicie trochę pusta-

ków i postawicie domek — kuchenka, jedno okienko. Kupiła ruderę po kowalu. Ale zachorowała. Nogę złamała. No to mówię: wezmę. Ale tak. Telewizora nie wolno puścić, tak dogryzie, że nie można wytrzymać. A ja, pani, i jeść dałam, i pić. Żle. Bułkę upieczesz, to za słodka. Masłem nie posmarujesz, słoninką nie posmarujesz. Starszego mięsa nie wrzucisz, bo już jej śmierdzi. Gdzie to kto jej dogodzi??!

— Ziemi, trzydzieści dziewięć ary, to nie chciała przepisać. Tylko na państwo zdala. Ja musiałam pożycząć od syna, żeby ten kawałek za stodołą wykupić. Widziła pani?

— Ja już się wreszcie bałam takiego człowieka. A może mi coś sypnąć do jedzenia...

— Córkę drugą ma. Niech u niej pobędzie.

„UMRZEĆ NIE MOGĘ,

— Druga córka w Bytomiu. Głuchoniema. Za młodu chodziła bez butów, dostała zapalenia opon mózgowych, chodziła z tym że dwa tygodnie. I nie było żadnego ratunku. Chowane byliśmy jak pies. Zębem ja ręce, nogi połamala, żeby tu nie wróciła, jak to nieprawda.

— Nie mogę się z tym pogodzić. Chora, słaba, a jak przyjdzie niedziela, to leci do kościoła ten różaniec posuwać po kawałku, a potem pięć — sześć chałup oblatuje. Na to zdrowie ma?

— Ja tu nie dam rady wytrzymać. Ludzie się bykiem na mnie patrzą. Te baby drogą przejść nie dają. A u nich, myśli pani, co? Nie ma domu bez gomonu.

— Raz dała dwadzieścia tysięcy na węgiel. Drugi raz, masz, mów, przytrzymaj mi do trumny te pięćdziesiąt tysięcy. Oddałam, bo zaraz poleciała na wieś i wypartoliła.

MIESZKANIE składa się z dwóch pokoi, przedpokoju i kuchni. Od 1942 roku mieszka w nim Halina S. z rodziną. Przydziel na to mieszkanie otrzymał jej mąż z kwaterunku. Cały dom stanowi prywatną własność, ale był pod tzw. szczególnym trybem najmu. Na podstawie decyzji administracyjnej mieszkali w nim również pozostali lokatorzy.

Jednym ze współwłaścicieli domu był pracownik Urzędu Miasta w Lublinie. Wyodrębnił on własność poszczególnych lokali i stał się właścicielem lokalu zajmowanego przez Halinę S. Już jako właściciel usiłował wyrzucić z mieszkania Halinę S., wykorzystując oczywiście swoje kontakty w urzędzie. Lecz mimo nakazu eksmisji to mu się nie udało, bo wiem sprawą zajął się prokurator. Działano na wszystko na początku lat siedemdziesiątych.

Obydwaj synowie Haliny S. założyli własne rodziny i wyprowadzili się od rodziców. Młodszy syn rozwiódł się i mieszkał najpierw na stacji, a w 1982 roku — gdy ojciec ciężko zachorował — przeprowadził się z powrotem do rodziców. Matce potrzebna była pomoc syna, więc Halina S. poprosiła kolejną właścicielkę mieszkania, aby go zameldowała. Ta jednak nie wyraziła zgody. W listopadzie ubiegłego roku mąż Haliny S. zmarł.

— 25 listopada ubiegłego roku — mówi Zbigniew P. — aktem notarialnym kupiłem to mieszkanie i stałem się jego właścicielem. Mieszkam na stacji i mieszkanie jest mi potrzebne. Wystąpiłem więc do Wydziału Lokalowego Urzędu Miasta o ograniczenie Halinie S. powierzchni mieszkalnej o jeden pokój z używalnością kuchni i przedpokoju i pozostawienie tej części lokalu do mojej dyspozycji. Złożyłem również w wydziale meldunkowym zastrzeżenie odnośnie zameldowania w tym mieszkaniu syna pani S.

Mieszkanie jest jedno. Prawo do niego nabył nowy właściciel, ale mieszkającej w nim od 1942 roku Halinie S. służy również ochrona prawna. Między właścicielem i najemcą rozpoczął się konflikt, który przez długie jeszcze lata dawał będzie zajęcie różnym urzędom i organom.

— Nie ma pan gdzie mieszkać, ale kupując mieszkanie, wiedział pan, że nie jest ono puste. Dlaczego więc je pan kupił? — pytam Zbigniewa P. podczas rozmowy w redakcji.

— Poprzednia właścicielka powiedziała, że będę mógł zamieszkać w jednym pokoju — usłyszałam odpowiedź.

— Dlaczego nie poszedł pan obejrzeć lokalu, który pan kupuje, i porozmawiać z mieszkającymi tam ludźmi?

— Bo właścicielka powiedziała...
— Myślał pan, że można będzie wyrzucić lokatorów na bruk tylko dla-

tego, że się jest właścicielem? Kupił pan kota w worku.

Zbigniew P. pokazuje mi teczkę z dokumentami, które nazbierał się przez parę miesięcy. Jest w niej wymiana korespondencji z lokatorami w sprawie wysokości płaconego przez nich czynszu za „stację”, odwołania od decyzji Wydziału Lokalowego Urzędu Miasta, akt oskarżenia do sądu itd. itd. Rozpoczęła się gehenna ludzi, którzy jeszcze parę miesięcy temu w ogóle się nie znali.

Dlaczego do niej doszło?
Z aktem notarialnym w kieszeni Zbigniew P. udał się do wydziału meldunkowego i zameldował się w mieszkaniu, które zajmowała Halina S. Na jakiej podstawie uzyskał meldunek w mieszkaniu, które nie było wolne? Czy zawinił urzędnik?

PRZY POMOCY MILICJI

Izabella Wlazłowska

Pani S. sugeruje, że Zbigniew P. jako znany lubelski sportowiec jest kimś ważniejszym niż ona, stara, schorowana kobieta, i to otwiera mu wszystkie drzwi, które przed jej nosem zatrząskują się z hukiem. Nawet drzwi stróża prawa, których działanie w jej przypadku było bezprawne, na co ma potwierdzenie na piśmie.

Ale o tym za chwilę.
Tymczasem Wydział Spraw Lokalowych Urzędu Miasta zajmował się sprawą z wniosku Zbigniewa P. o ograniczenie Halinie S. powierzchni zajmowanego dotychczas przez nią mieszkania.

7 lutego br. wydana została decyzja odmawiająca właścicielowi cofnięcia uprawnień Halinie S. do części zajmowanego lokalu. W uzasadnieniu stwierdzono, że wprawdzie jej syn Ryszard nie jest zameldowany w tym lokalu, ale nie może tego meldunku uzyskać tylko ze względu na zastrzeżenie złożone przez właściciela. Z przeprowadzonego postępowania wynika jednak, że faktycznie zamieszkuje ze swoją matką, co poświadczali inni lokatorzy tego budynku. Jako osoba bliska, posiada uprawnienia do przebywania w tym lokalu. Nie stwierdzono więc występowania nadmetrażu w mieszkaniu, który można byłoby postawić do dyspozycji właściciela.

Zbigniew P. złożył odwołanie do Urzędu Wojewódzkiego, który uchylił decyzję i przekazał sprawę do ponownego rozpatrzenia z uwzględnieniem nowych okoliczności i wyjaśnień złożonych przez obecnego właściciela.

Tym razem decyzja nie była pomyślna dla Haliny S.

— Stwierdziłam — mówi Halina S. — że z teczki z aktami sprawy poginęły dokumenty świadczące na moją korzyść, jak np. oświadczenia sąsiadów, potwierdzające zamieszkiwanie ze mną syna od 1982 roku. Od decyzji tej złożyłam oczywiście odwołanie do Urzędu Wojewódzkiego. Ponownie dołączyłam wszystkie dokumenty, które w tajemniczy sposób „wyparowały”. Ale to dopiero początek „cudów” prosię pani, bo młodemu sportowcowi zaczęła pomagać milicja.

Przysłuchuję się rozprawie w Wydziale Gospodarki Komunalnej i Mieszkaniowej Urzędu Wojewódzkiego w związku z odwołaniem złożonym przez Halinę S. Zbigniew P. jest na sportowym zgrupowaniu. W jego imieniu występuje matka. Atmosfera napięta. Obydwie kobiety mocno zdenerwowa-

ne. Wyważone zostały drzwi. Z jednego pokoju wyniesiono meble, pościel, telewizor i inne rzeczy, które zrzucano do drugiego pokoju. To było bezprawie, w którym brała udział milicja. Do drzwi pokoju zaczęto zakładać nowe zamki. Milicjanci wyszli. Wrócił mój syn, no i wtedy zaczęła się szarpanina z właścicielem...

Emocje ludzkie dosyć często przedradzają się w rekoczyn. Pocucie własnej krzywdy lub obrona domniemanego prawa powodują, że wzajemne argumenty przybierają postać raców. Tak było i w tym przypadku. Przedpokój łączący obydwa pokoje stał się polem bitwy i ostatecznie rozdzielił właściciela od najemcy. Do Sądu Rejonowego w Lublinie wpłynęły wzajemne akty oskarżenia o pobicie. Problemy mieszkaniowe trójki

ne, skaczą sobie do oczu. Wypieki na policzkach, rozbiegane ręce, podniesione głosy. Oskarżenia, które padają i wycieczki w prywatne życie obydwu rodzin nie mają nic wspólnego z tą sprawą. Jeszcze niedawno kobiety te w ogóle się nie znały. Teraz nabrzmiały obopólną nienawiścią.

Matka Zbigniewa P. — Przecież mój syn jest właścicielem i mu wolno.

— W maju tego roku podjęłam sezonową pracę w Ośrodku Wypoczynkowym w Białcu — mówi Halina S. — Nie czekając, aż sprawa zakończy się w Urzędzie Wojewódzkim, Zbigniew P. zorganizował sobie pomoc milicji i 13 czerwca pod moją nieobecność w domu włamał się do mieszkania, wyważając łodem drzwi. Była godzina 22.45. W mieszkaniu był mój syn Ryszard, Zbigniew P. w obecności dwóch mężczyzn, dwóch kobiet i dwóch mundurowych funkcjonariuszy wszedł do mieszkania przez wyważone drzwi i chciał wyrzucić meble z jednego pokoju do drugiego. Syn na to nie pozwolił. Milicjanci i pozostali ludzie opuścili mieszkanie. Następnego dnia przyjechałam do Lublina. O włamaniu zawiadomiłam prokuraturę. Poszłam też do dzielnicowego, który stwierdził, że właściciel działa zgodnie z prawem, bo jest tam zameldowany, i milicja dalej będzie mu pomagała w zajęciu mieszkania.

— Następnego dnia około 15. Zbigniew P. ponownie usiłował wejść do mieszkania, ale mu nie otworzyłam. Niedługo potem wrócił w towarzystwie jakichś mężczyzn, dzielnicowego i trzech innych milicjantów, w tym porucznika. Co mogłam zrobić? Byłam

ludzi, które jeszcze nie zostały rozstrzygnięte przez powołany do tego urząd, wykroczyły już poza przyjęte normy wzajemnego współżycia i rozpoczęły nie kończący się przemarsz przez sądowe sale.

— Gdyby nie pomoc milicji — usłyszałam od Haliny S. — Zbigniew P. sam nie odważyłby się włamać do zajmowanego przeze mnie mieszkania. Musiałby poczekać na ostateczną decyzję Urzędu Wojewódzkiego w tej sprawie. W imię jakiegoś prawa interweniowała milicja, która spowodowała, że życie moje stało się gehenną? Jak sobie teraz dzielnicy wyobraza nasze zamieszkiwanie razem z właścicielem w dwóch pokojach, przedpokoju i wspólnej kuchni?

11 sierpnia Prokuratura Rejonowa w Lublinie, do której Halina S. złożyła doniesienie o interwencji milicji w jej mieszkaniu, poinformowała, że: „prowadzone przez organa RUSW postępowanie wyjaśniające potwierdziło zarzuty wobec funkcjonariuszy MO”.

Nieco łagodniejsze w treści jest już wyjaśnienie szefa RUSW: „w odpowiedzi na skargę [...] uprzejmie informuję, że przeprowadzone zostało wnikliwe postępowanie wyjaśniające, które częściowo (?) — przyp. I. W.) potwierdziło bezpodstawną interwencję podjętą przez funkcjonariuszy MO, gdyż organa MO nie są uprawnione do rozstrzygania sporów cywilno-prawnych”.

Trzymam w ręku wyjaśnienie szefa RUSW. Czytam: „potwierdziło bezpodstawną interwencję... nie są uprawnieni...” Słowa „przepraszam” nie napisa-

— Wszystko mi z rąk leci. O, jak mi się trzęsie... Czekał na opiekę rok czasu. Przyszło z gminy wezwanie, że może dostać Popkowice, ale mnie nie powiedzieli. Przepadło. Matka nie chciała. A ile od nas ludzi jest?! Przyjadą, to sobie wychwalili nie mogą. I uprane, i podane... Co takiemu człowiekowi potrzebne jest?!

— Przebaczyć?! Pogodzić się?! Choćby nie wiem co: nie dam se o niej wspomnieć.

URZĄD Gminy w Spiczynie. Z wywiadu środowiskowego. „Petentka jest osobą schorowaną, dalej nie zamierza opiekować się matką. Rozmowy, prośby, groźby nie przekonały petentkę, aby nie wyganiała matki z domu. Nie chce mieć nic wspólnego z matką, nie obchodzi ją dalszy los”.

BO NIE MAM GDZIE”

Grażyna Józwiak, do niedawna inspektor do spraw zdrowia i opieki społecznej:

— Dwudziestego ósmego stycznia tego roku, po półrocznych staraniach, babcia dostała dom pomocy społecznej. Karetka już załatwiona, a tu pani Oleszkowa mówi: nie. I nie pojechała. Bardzo związana ze środowiskiem. Dlatego. Potem już się nie dało odkreślić.

— Konflikt nasilił się w ubiegłym roku. Prawda jest pewnie pośrodku. A do miłości nikt nikogo nie zmusi.

— Pewnie, że państwo nie musi być niańką, jak kto ma dzieci. W gminie mamy pięćset ludzi, w tym sześćdziesiąt osób to podopieczni — emeryci i renciści. To nie są osoby samotne.

Elżbieta Łukasik, następczyni Grażyny Józwiak:
— Ostatnio źle się dogadać rodzicom z dziećmi. Jak starsi chodzą i robią, to są potrzebni. Jak zaniemogą,

to idą w kąt. My interweniuje, ale to są sprawy tak osobiste, że...

— Będę musiała sama pojechać do tych Popkowic, może jest miejsce...

— Dajemy zasiłki. Na ten rok mieliśmy trzy miliony dwieście. Dodatkowo sześć milionów dorzucił Urząd Wojewódzki, bo inflacja. Do końca roku wykrzystamy jeszcze cztery miliony.

— Pani Oleszkowa dostała od nas pieniążki. Siostry PCK jej nie daliśmy, bo, wie pani, mało ich jest.

Barbara Sidor, pielęgniarka z gminnego ośrodka zdrowia, kierowniczką punktu opieki nad chorymi w domu:

— Ze starymi ludźmi, a jeszcze chorymi — ciężka praca. Wszystko się robi: od sprzątanego, prania, po

zakupy, całą toaletę. Sióstr jest osiem. Wiek: po trzydziestce. Pensja: do osiemdziesięciu pięciu tysięcy. Dużo było takich, co zapoznały się z pracą i uciekły. Te może nie.

— Mimo to dla wszystkich potrzebujących nie starczy. Podopieczni to zazwyczaj starzy ludzie, których dzieci pracują. Pielęgniarka jest wtedy do pomocy w dzień.

— Bardzo mnie ta sprawa bulwersuje. Nie rozumiem takich stosunków między matką i córką. Jaką nie mogę się na tę rodzinną nienawiść uodpornić.

Córka:

— Pytała się bida, kiedy przyjdzie? Jak przyszła z młodu, to i dusi do starości.

Matka:

— Umrzeć nie mogę, bo nie mam gdzie.

Ewa Czerwińska

LISTY

„Kiedy dostatek żywności?”

W nawiązaniu do artykułu pt. „Kiedy dostatek żywności?” w numerze 40 „Relacji” z dnia 19–25 października 1989 roku wyjaśniam, że Rada Narodowa Miasta i Gminy w Opolu Lubelskim przeznaczyła z nadwyżki budżetowej za rok 1988 (wynoszącej 108 mln zł) kwotę 8 mln zł na zakup samochodu służbowego dla potrzeb Urzędu Miasta i Gminy. Na mocy umowy cywilno-prawnej przekazano samochód marki „Polonez” do użytkowania naczelnikowi Miasta i Gminy.

Wyjaśniam jednocześnie, że nie jest prawdą, jakoby w tym czasie zabrakło środków finansowych na wypłaty poborów nauczycielom.

Przewodniczący
Rady Narodowej Miasta i Gminy
w Opolu Lubelskim
inż. Zdzisław Piech

„Tygiel w krańskich łożyskach”

Gratuluje zdemaskowania przez red. Zb. Dzięciołka wyjątkowo groźnego opryska grasującego na funkcji dyrektora FET w Krańsku.

Wyrażam także uznanie dla jakości intelektualnej jego głównego dezinformatora.

Z poważaniem

Jan Zarkowski
dyrektor FET w Krańsku

Gorące Wilno

WĘDRUJEMY dalej. Stare miasto rozkopane. W zaniedbanym podwórku zniszczona grzybem i zębem czasu kamienica z tabliczką: „Siame name 1823 M. gyveno poetas Adomas Mickevičius (W tym domu mieszkał Adam Mickiewicz, 1823)”. Cóż za uprzejmość, wersja w dwóch językach... Podwórko pomickiewiczowskie przy ul. Literatu 5 nie wypiękniało od mojej ostatniej wizyty, tzn. od roku 1987. W dalszym ciągu widać tu rystów zapachy śmietnika i zgnilej kapusty, na sznurku rozciągniętym między wyszczerbionymi murami zgrzybiałej kamienicy powiewają przysłowiowe gacie. Tam, gdzie kiedyś Mickiewicz, mieszka Litwinka, która wyszła za mąż za Żyda — dowiaduję się od podwórkowej kumoszki. Po skisłych zakątkach biega kilkuletni maluch i potrząsa małym dzwoneczkiem. Na alarm? Pisarz by lepiej takiej sytuacji nie wymyślił. Ale tu, na ul. Literackiej, nie dzwoneczki, a ogromne dzwony dudnić powinny!

Opuszczam to wynędzniałe podwórko. Trzeba zejść w dół ulisą Rusu, żeby zobaczyć okno, przez które Adam spoglądał na kościelne wieże Wilna. W wiele lat później pisał Józef Czechowicz:

*noc — to koło — w ciszy niebieskiej
wielce*

*wilno kościelne śpi
białe jak gołąb
nad zaułkiem arkada
dom domowi dłoń tak uściskał
i zastylł z nagła
jest i latarnia blade
nad chodnikiem drewnianym nisko
i ogród na wietrze zagrał
willa się tuszczy
pluszcz o brzeg
litwa ziemia puszczy
jak dobrze*

To okno łatwo zauważyć — jest jedyne w tylnej ścianie kamienicy, kwadratowe oko niemal ślepego muru.

Jeszcze jedna odrapana kamienica i jeszcze jedna tabliczka: „Tu mieszkał Juliuszłowacki”. Czy za czas jakiś zawiśnie tu jeszcze jedna: „Tu mieszkał także wojewódzki konserwator zabytków Stanisław Lorentz”? Podobno Lorentz mieszkał po Słowackim... Młody mężczyzna odnawia wnętrze swojego mieszkania. Może to akurat pokój młodego Juliusza, zamieszkałego wówczas u ojczyma, niestawnego Bécu? Czy można zamalować przeszłość? Ot tak, podczas odnawiania mieszkań i poglądów? A czy wolno stawiać tak abstrakcyjne pytania?

Brukowanym podjazdem dochodzimy do nastroszonego rusztowaniem klasztoru Bazylanów. Tynk odpada płytami. Na przyklatostnym budynku tablica w języku polskim: „Tu był uwięziony Adam Mickiewicz, 23.X.1823 — 21.IV.1824”. Wpatruję się w trzecie od narożnika okno na pierwszym piętrze. Czy studenci Instytutu Inżynierskiego, korzystający z mieszczącej się tam biblioteki, wiedzą, że to właśnie tam była cela, w której umarł Gustaw, a narodził się Konrad?

Taksówkarz w dżinsach i modnej koszulce prowadzi wołgę z ręcznikami dosyć szybko. Wilno przez szyby auta przypomina rozmigotany fotoplastikon. Labirynty ulic, uliczek i zaułków — to Starówka, pokraśniała między kolorowymi kwartałami kamieniczek odnowionych, a brudnymi liszajami tych czekających na ratunek. Ech, renowacje, renowacje! Polacy mają zapewnienny front robót po XXI wiek! Mieszkańcy już chyba przywykli do swoich cienkich zagzębionych uliczek, zaśniedziałych przepustów, krętych brudnych zaułków, cuchnących podwórek, do których żaden szanujący się wileński przewodnik wycieczki nie poprowadzi. Wchodzę w niejedno takie podwórko, do sieni zaglądam, podłuchuję, polską mowę łykam. Mieszkańcy już przywykli do swojej szarzyzny; nie czynią chyba zbyt wiele, by ją rozjaśnić, poprawić. Przez stłuczone okienko widać jakaś antena telewizyjna, a przy parującym śmietniku rozpiera się nowiutka łada-sputnik.

Siadam na ławce koło fontanny w bardziej cywilizowanym miejscu. I przypominam sobie historię...

W 1815 roku niespełna 17-letni Adam przyjechał na studia do Wilna. Zamieszkał przez kilka pierwszych dni u Mickiewicza, dozorca domu Daniela Bukszy, wileńskiego piwowara, przy ul. Wileńskiej. Potem przeniósł się do księdza Józefa Mickiewicza, dziekana Wydziału fizyczno-matematycznego UW. Książdz dziekan nawet był uważany za stryja Adama, co dementował w wiele lat później syn poety, Władysław. Mieszkanie, usytuowane na jednym z dziedzińców uczelni, w domu rektorskim, to dla Adama zaledwie mała ławka z przepierzeniem,

artysta malarz Ferdynand Ruszczyk, a także Jan Bułhak, ojciec polskiej fotografii artystycznej. Idźmy dalej, sąsiednia kamienica, nr 24. Tu w latach 1830—35 mieszkał Józef Ignacy Kraśzewski, autor wielu książek o Litwie, w tym 4-tomowego dzieła „Wilno od początków do 1750 roku”.

Siedzę sobie na ławce i nagle zaczynam na głos recytować wiersz Józefa Czechowicza:

*śnieżne konie śnieżycy po świętym
Marcinie
zamieć dom; ratowała a bom mocny
wykrwał
dawny czas w zegarach szafach
skrzyniach*

litwa litwa...

SZUKAM

Henryk Makarski

ale za to dostęp do bogatej biblioteki księdza dziekana. Dzięki protekcji księdza, Adam został — mimo zbyt młodego wieku — wpisany do księgi wydziału fizyczno-matematycznego. W 1817 roku przeprowadził się do Jana Czeczota, który mieszkał przy placu Gedymina (dawna nazwa: Katedralny).

Ulica Didžioji (Wielka) ma wiele zakątków związanych z Mickiewiczem, np. na parterze kamienicy nr 22, w oficynie Józefa Zawadzkiego, na zalepczu w małym kantorku, stary księgarz przyjął do druku pierwsze rękopisy poezji Adama i wydał je w czerwcu 1822 roku. Na pierwszym o trzymany egzemplarzu autor napisał: „Janowi Czeczotowi, Tomaszowi Zanowi, Józefowi Jeżewskiemu i Franciszkowi Malewskiemu, przyjaciółom moim na pamiątkę szczęśliwych chwil młodości, którą z nimi przeżyłem, poświęcam...”

W tym samym domu mieszkał też

GDZIE się zaczęła ta droga do poetyckiej wielkości? W Nowogródku? Tak, drogi gościu z Polski, ale to już za granicą republiki, to już Białoruś. A jednak jedziemy tam, bo przecież wędrować po mickiewiczowskiej Litwie i nie zajrzeć do Nowogródka, to...

Najpierw jedziemy szosą w kierunku Druskiennik. Płasko i pusto, monotonia, ziemia tu słaba. Ciężkie kombajny stepowe nie spełniają tutaj zadania, zapadają się w miękką meliorowaną ziemię, łamią drena. Ale z czasem krajobraz pięknieje. Świerki, brzozy, sosny. Przyjemne parterowe domki produkcji Fabryki Domów. Krańców topniejącego dawno temu lodowca wyrzeźbiła przepiękne pagórki, porośnięte iglastymi lasami i zagajnikami, pełno jezior. Gdzieś tam błąska brzoza, tu i ówdzie czarne olchy.

Azerbejdżan

DRUGIEGO dnia podróży po południu rozbija się w najbliższym sąsiedztwie czterech chłopaków, rozmawiają szybko w gardłowym języku — Azerbejdżan. Jeden z nich, jasnowłosy, ma rysy twarzy typowego, polskiego księdza (wystudiowana czy też naturalna słodycz, powolność w ruchach, wygłuszone kwestie zawsze poprzedza zauważalny namysł). Ma na imię Rafael. Pozostała trójka to Asif, Mołła i Telman, który jest Gruzinem. Nas interesuje Nagorny Karabach; ich — sytuacja polityczna w Polsce („Podobno wyprzedajecie socjalizm?” — „A chcecie kupić?”) i ceny. Podają sformułowania na temat Ormian, które będą nam towarzyszyć niezmiennie przez cały pobyt w Baku. Powiedzą:

— To wrednyje ludzi! Umno wrednyje, bo ludzi — kak ludzi. Chcą ziemi. Oddałbyś swoją ziemię? Ściągają broń samolotami z całego świata — nikt ich nie kontroluje. Nawet trzęsienie ziemi potrafił wykorzystać, żeby się dobrać. Władza nie robi nic.

— Niedawno były wybory. Wybieraliście sami?

— Wybraliśmy... Pojechaliśmy dwa miesiące temu [rozmowa miała miejsce w ostatniej dekadzie sierpnia] do obwodu karabachskiego, pogadali i... nic! W gazetach piszą, że zastrzelono dwoje ludzi, zniszczono tor kolejowy, ale nie podają kto, co. Jak na Marsie. Kilkanaście dni temu Ormianie zastrzelili dwóch pastuchów w górach. Trzeci, postrzelony, zszedł na dół i opowiedział. Ludzie poszli i znaleźli dwa trupy z powryzynanymi na piersiach krzyżami — Ormianie są katolikami, Azerbejdżanie wyznają islam. Mówi się u nas, że senatorzy amerykańscy ormiańskiego pochodzenia wywierają naciski na Gorbaczowa, stąd stagnacja, czekanie nie wiadomo na co.

— Żołnierze nie zabierają im broni?

— Oni ich osłaniają.

— W waszym kraju to raczej niemożliwe — powątpiewam.

— Pobędziesz dłużej, zobaczysz. To dziwny naród, prócz siebie nikogo nie lubi — mówi Asif. — Byłem rok temu na wycieczce w Czechosłowacji razem z Ormianami. Jedliśmy razem, spaliśmy, zwiedzaliśmy — słowem: przyjaźni. Pora wracać do kraju. Wsiadamy do autokaru, a moi Ormianie mnie nie znają.

Po wagonie przetacza się obfita blondyna.

— Gdyby jej wyporność mierzyć moją — powiedziałam do żony — zbierałyby się ze cztery Kuliki.

— W porowach dochodzi sześciu.

Rafael domyśla się:

— U was też są takie?

— Nie ma.

— Rozumiem! gimnastyka, zachodni styl bycia.

Pokazują książkę wydaną w rodzinnym języku. Małgorzata z łatwością odczytuje parę wyrazów. Dziwią się, skąd znamy ich alfabet, w rosyjskim przecież „j” nie ma. Podają w odpowiedzi „Historię Azerbejdżanu” wydaną u nas.

— Dlaczego interesujecie się nami?

— Mieszkaacie na Wschodzie, dla Polaków to egzotyka. Azerbejdżan ma trzy tysiące lat historii, sztuki, mój kraj tylko tysiąc.

Najmłodszy z nich, Telman, jest wyraźnie wzruszony:

MIEDZY PRAWDA

Adam W. Kulik

— Ja błagam wam za eto.

Ile razy ktoś mówi w ten sposób do mnie, czuję się, jakby mnie błogosławił. Teraz sam nie mogę oprzeć się napływowi emocji.

— Czy islam u was jest surowy, rygorystyczny? — próbuję uciec.

— Nie. Jest tolerancyjny. Ludzie rzadko chodzą do meczetów. W dwumilionowym Baku czynne są tylko dwa i to wystarczy. A z Ormianami pogromawiasz sam, zobaczysz, że oni sami siebie nie rozumieją. Azerbejdżanie to cierpliwy naród. Do czasu.

WIECZOREM nasi przyjaciele sadowią się na najwyższych półkach przeznaczonych na bagaże — nad głową dziesięć centymetrów przestrzeni. W wagonie są 54 miejsca pięćce, ile osób jedzie, wie tylko konduktor. Nieustający łomot kół, smród mocz z zdezelowanej, brudnej ubikacji, krząca „B 58” i „B 52”, przed którymi człowiek ucieka lotem nurkującym, i upał! Parno jak w łaźni parowej. Co kilkadziesiąt minut chodzę do toalety i myję się do pasa, niewiele to daje. Śpiący ledwo mieszczą się z wyprostowanymi nogami we wnękach; ci, którzy mają szczęście leżeć głowami do okien, wystawiają nogi na „korytarz” — przechodzący grają na nich jak na ksylofonie. Nikt nie zwraca na to uwagi. Na szczęście okna otwarte — dopiero od roku podróźni posiadają ten przywilej, wcześniej obowiązywał zakaz otwierania. W czasie jazdy powietrze dociera nawet do nisz przy „korytarzu”. Podczas długich i częstych postojów ludzie łapią je jak ryby wyrzucone z wody. Niektórzy próbują odgradzać swoje „przedziały” od reszty przeszcierającymi, nie na wiele się to przydaje — żyje się ze wszystkimi i na oczach wszystkich. Nie sposób zachować odrobiny intymności. W wagonach z czterosobowymi przedziałami dzia-

ła wentylacja, podróżujący nimi wyraźnie obnoszą swoją przewagę nad jadącymi w „obszczim” czy „plaskatym”.

W wagonie restauracyjnym sprzedawca doskonale smietany wydziera się jak parobek. Kelnerka nie chce podać obiadu, bo przyszedłem bez kosztów. Niko nie martwi brud, wrzask i zaduch. (Uczciwie dopowiem, że druga, nie zachęcana przez nikogo, mówi: „Siadaj po mojej stronie, obsłużę”).

Z sąsiadami z kolejki próbuję podzielić się refleksjami na temat podróży. Oczywiście Polacy. Z Zamościa.

— A... jedziecie bonanzą? To normalne.

Po czym zostają wprowadzony kompetentnie w sprawy handlowe („Tylko dlatego ci mówimy, że jesteś krajan”).

— Do nas przyjeżdżali harcerze z Warszawy, w trzydziestym trzecim — opowiada Jan. — Wędrowali po lesie. Teraz jest u was harcerstwo?

— Są dwa: oficjalne i niezależne.

— Mówią, że górnicy w Polsce strajkują.

— Górnicy zawsze u nas mieli dobrze, ale ostatnio porobiło się tak, że milicjanci łączy na wierzchu i zarabia przeszło dwa razy tyle co górnik pod ziemią. Pan by nie strajkował?

— Ot takie porządki. Sam z jednym palcem u lewej ręki zrobiłem traktor. Ma 27 lat i jeszcze jeździ. Młockarni też, zbudowałem dom dla siebie, drugi dla córki...

— U nas też chłopci robią ciągniki, mieszadła do cementu, a nawet kombajny do zbioru chmielu. Minister jedzie do Danii czy Holandii i kupuje kombajny, tyle że gorsze od chłopskich i droższe z pięć razy od tego, co chłopu wyszło w ręcznej robocie. Drugi przywozi z Anglii licencję Fergusona w systemie calowym. Cały świat przechodzi na układ metryczny, a my fundujemy sobie takie cuda gospodarce.

— Dlatego tak wesoło. Ale to chyba już się kończy?

— To się musi skończyć, inaczej kraj się rozsypie.

Milczymy.

— Myślą na Ukrainie o wolnym państwie? — pytam.

— Przyjdzie czas i pokaże, co będzie. Wszyscy chcą wolności w republikach. Żeby można było mówić i żeby była prawda. Jak kazał Lech Wałęsa: nie ma wolności bez solidarności.

Na 26. kilometrze studnia specjalnie dla podróżnych, czysta woda, przy której „pełni wartę” olbrzymi bocian wyrzeźbiony z drzewa. Zaczyna się prastara Puszcza Rudnicka; żyły tu niedźwiedzie, żubry i tury. 130 dębów uznano za pomniki przyrody. Najbardziej znany, ten „stelmuzki, szumi listowiem już drugie tysiąclecie; jego narodziny sięgają czasów budowy egipskich piramid. Jeszcze w XVI wieku dąbrowy stanowiły ok. 20 proc. lasów Litwy, teraz pozostało ich tylko 1,5 proc. wszystkich drzew leśnych, czyli 25 tys. ha. Niemal w głębi mijanych lasów trzęsawisk, pięknych bagien mszystych.

Uciekających hitlerowscy oprawcy wrzucali z powrotem do ognia... O ironio, »saulenas« w języku litewskim znaczy — słoneczny... A teraz dzieci grają tu w piłkę i uśmiechają się do przybyszów.

Wracamy na szlak nowogródzki. Wprawdzie już w Wilnie dealektowałem się sokami z jabłek, winogron, żurawin, ale najsmaczniejszy zdał mi się pity właśnie teraz, w Lidzie, cierpkowinny aromat soku jabłkowo-jarzębinowego. A wręcz egzotyka zapachniało, kiedy poprosiłem o sok z granatów, a potem sok brzozy. Brzóz i w Polsce nie brakuje, o soki jakby gorzej...

Tylko starość zabytków, jakby starsza jeszcze, na zrujnowanym dachu miejskiego kościoła św. Michała rosła brzoźka. Przez kilkadziesiąt lat mieścił się tutaj magazyn handlowy. Skład towarów zlikwidowano, bo... dach zaczął zbyt mocno przeciekać, a sam naprawić się nijak nie chciał. Gnieździć się zaczęły tu kawki i wrony. Przed kilku laty powzięto decyzję odrestaurowania tego zabytku architektury. Jest już cały w rusztowaniach.

Szkoda tylko, że nadal rozsypują się wieże zamkowe, przastare pamiętki książąt litewskich, Mendoga i Witolda. Na razie podtrzymują je jedynie

MUZEUUM Adama Mickiewicza w Nowogródku, niewielki spokojny dworek w głębi cichego parku. W siedmiu pokojach domostwa rodziny Mickiewiczów zyciorys poety, zakłety w kopiach obrazów (oryginały w Polsce) i garści dokumentów, kartek, ksiąg — złote okulary na biurku. Pięć tysięcy eksponatów — to wszystko, co udało się pozbiierać po wojennej zawierusze i utworzyć znowu podwoje placówki w grudniu 1955 roku. Obelisk na miejscu chutoru Zasokie, srebrne fale Niemna. W sypialni rodziców okres wileńsko-kowieński. Fotokopia rękopisu poematu pt. „Kartofla”. Fragment rękopisu „Ody do młodości”, autoraf pierwszej strony „Dziadów”. W kilkanaście minut przedreptuję 57 lat tego niezwykłego żywota. Inaczej się słucha o Mickiewiczu w czterech ścianach jego domostwa, nawet rzeczy oczywistych dla polskiego pisarza, w dodatku polonisty z wykształcenia...

Rok 1804 — mierzniczy sądowy, jednocześnie zajmujący się praktyką adwokacką, Mikołaj Mickiewicz, kupuje posiadłość w Nowogródku i buduje drewniany dom. Rok 1807 — wielki pożar Nowogródka trawi doszczętnie sadybę. Mickiewicz buduje więc dom kamienny, na owe czasy najokazalszy w całym mieście, w którym tylko cerkwie i kościoły były kamienne.

Tak, to prawda, co rzekł Goethe: „Ten, kto chce zrozumieć poeeta, powinien zobaczyć jego kraj...”. W rodzinnym domu, z bąjan niani Gąsławskiej i starego slugi Błażeja, Adaś poznał stare podania ludowe i legendy. Był świadkiem wielkiego pożaru Nowogródka i oglądał wkroczenie wojsk napoleońskich, a następnie paniczną odwrót rozbitej, głodnej i oberwanej armii francuskiego najeźdźcy...

Okres zsyłki był dla Adama nie tyle wygnaniem, co szczęśliwym okresem polsko-rosyjskiej przyjaźni z ludźmi i przyrodą. „Wzieliśmy go od was silnym, a zwracamy potężnym” — powiedział rosyjski poeta J. Kozłow.

Dokończenie na str. 8—9

MICKIEWICZA

Pirczupi, czterdziesty czwarty kilometr od Wilna. Maleńka wioska w sosnowym lesie, w czasie wojny — baza partyzancka. Kobieta stoi przy szosie, zaciśnięte kamienne usta, zaciśnięte kamienne pięści zaciśnięte kamienne serce. Potężne requiem wykułe w kamieniu przez profesora G. Jokubonisa, za które otrzymał Nagrodę Leninowską i furtkę do rzeźbiarskiej sławy. To „Matka Pirczupi”. Jakby stała na straży wsi, w bezsilnym bólu wygląda wroga. Za nią granitowy zarys budynku, postacie w trwodze. I nazwiska mężczyzn, kobiet i dzieci, spalonych żywcem przez Niemców 3 czerwca 1944 roku. Ale najtrwalsze pomniki wystawili im litewscy pisarze. Nie, nie tylko książki. Pisarze, wsparci przez leśników, posadzili w Pirczupi 117 dębów. Po jednym dla każdego zamordowanego, w miejscu, gdzie zginęli. Oglądamy miejsce, w którym stało domostwo Jurgisa Saulenasa. To tu.

Wreszcie — Nowogródek. No, od czasu ostatniej tu bytności Barbary Wachowicz dziura nie zdążyła przekształcić się w metropolię i nadal sennie furmanki spotkać można na pustawym rynečku. W 1986 roku Nowogródek obchodził swoje 870-lecie, staroście więc to miasteczko. Mimo późniejszego wieku, jest miastem młodzieży. Są tu dwa technika, zawodówka techniczna, dziesięć szkół ogólnokształcących, dwie sportowe i muzyczne, ośrodek młodych techników i przyrodników. Chociaż 60 proc. regionu zajmują lasy, nowogródzkie jest krainą przemysłowo-rolniczą. Plony są nieźle, rozwija się hodowla, zwłaszcza uprawy lnu znane są daleko z dobrej jakości. Przemysł miejscowy to przede wszystkim fabryka aparatury gazowej, zjednoczenie zakładów metalowych i zakłady krawieckie. W 30-tysięcznym już mieście przybyło jednak trochę nowego, pojaśniło postępem.

(Dokończenie)

podmurówki, dobudowane z inicjatywy Stanisława Lorentza w latach dwudziestych. Przed ruinami zamku nowogródzkiego robimy pamiętkowe zdjęcie. Kopiec Adama Mickiewicza trzyma się znakomicie, ani śladu wiekowych ubytków. Może dlatego, że zbudowany jest po prostu z piachu, z ziemi, zwożonej i znoszonej na plecach w latach 40. (przez 4 lata!) przez wdziecznych potomnych. Świętości przemieszają, ziemia trwa...

Jeszcze tylko rzut oka na kościół farny. Nie wszyscy wiedzą, że oprócz chrztu Adama z Mickiewiczów, miało tu miejsce jeszcze jedno wydarzenie, o czym informuje wmurowana w ścianę tablica: „W tej świątyni 1422 roku Władysław Jagiełło Król Polski Wielki Książę Litewski zawarł związek małżeński z Zofią Holszańską”. Niedawno w tej właśnie świątyni gościł prymas Józef Glemp.

Jedziemy niemal brzegiem Azowskiego Morza — rozlewa się ogromna, płaska laguna, porośnięta regularnymi prostokątami trzciny otoczonymi siatką wodnych kanałów. Wszystko niezwykle symetryczne, jakby ułożone — rozległa przestrzeń udrapowana w kratę.

Jeszcze trochę i proste, niemal kwadratowe ukraińskie chałupki, budowane zazwyczaj z drewna, przechodzą w budowle (też niewielkie i prawie kwadratowe), o kolorze piasku z wysuszonej na słońcu cegły. Przy nich smukłe drzewa.

— Czyżby cyprysy? — pytam Rafaela.

— 600 tysięcy. Nie można powiedzieć, że tylko Rosjanie — mieliśmy dwie armie w kraju, poza nim też ubierałoby się na dwie.

— Jesteście małym krajem — konkluduje Rafael — ścieranym przez obce, silniejsze państwa. A jak odbieracie Gorbaczowa, pierestrojkę?

— Zdajemy sobie sprawę, ile jest polskiego udziału w tym, co teraz zachodzi w krajach socjalistycznych. A Gorbaczowa część ludzi zwyczajnie lubi. Po raz pierwszy od kilkuset lat, a może po raz pierwszy w naszych dziejach, szef rosyjskiego państwa jest cenniony i lubiany. Ale znam takich, co jeszcze czekają,

który stanął na tej ziemi. Data z pomnika potwierdza wywód profesora.

— Konferencja odbyła się u was?

— Nie. Miała miejsce w lutym, w Columbia University. Ale najciekawsze jest to, że po wykładzie profesora Ormianie podeszli do niego i napluli mu pod nogi.

— Niemożliwe, Ameryka to nie Azja! Wiedzą o tym nawet Ormianie.

— Po raz drugi mówisz „niemożliwe” — zauważył Rafael. — Musisz żyć w porządnym kraju.

— Z Azerbejdżanu nikt nie jeździł na tę konferencję?

— Ormianie ogłosili, że zaproszono naszych dziennikarzy, nikt z Baku jednak zaproszenia nie otrzymał.

Z ciekawości oglądają polskie banknoty, pytają o zarobki, ceny. Wychodzi, że po lipcowo-sierpniowych podwyżkach zarabiam 260 rubli według oficjalnego kursu (dwie średnie pensje u nich), a kurica jest tańsza niż w Polsce. Na pytanie o twórców polskiej kultury nie otrzymuję odpowiedzi, chociaż... Rafael oglądał film w telewizji o czterech żołnierzach i psie.

— To bardzo śmieszny film — dodaje. — Marusia strzela do jednego Niemca, a upada dwóch zabitych.

— Nie przejmuj się — mówię. — U nas z tego filmu też się śmieją.

KAUKAZ. Wysokie, regularne kopce; z wypaloną, żółtawą ziemią, u podnóża przechodzącą w step, który w wyższych partiach, gdzie nie powinno już nic rosnąć, przemienia się w las. Od czasu do czasu przylepione do zboczy maleńkie osady. Przed Machaczkałą, w ostrym słońcu ranka pędzące iskiereczki samochodów u stóp wyniosłych gór.

— Masz kryształową brodę — mówi żona.

— ?

— Słońce rozszczepia promienie na nieogolonych policzkach. Wyglądają, jakby były oblepione kryształkami.

Jan łapie nastroj na dumki. Płyną nieśpiesznie, tęsknie. Srodek wagonu cichnie — ludzie słuchają. Po godzinnym występie Mołła podaje starszce zieloną, anyżkową oranżadę:

— Pij, Katusza.

Ale koncertu to jeszcze nie koniec, idą piosenki polskie. Kończą go dopiero „Nasze małe żołnierzyki”:

*Nasze małe żołnierzyki na placówkach stoją,
I ćwierkają bolszewikom, że się ich nie boją.
Nic a nic, chociaż u nas nie ma broni dąże*

*i połowa.
Będziem walić choć pięściami, a nie damy lwowa*

Śpiewa to Ukrainiec, po polsku, i cóż? Gawędzimy w najlepszej komitywie.

(Koniec odcinka 2. — cdn)

A NIENAWIŚCIĄ

— To czinar. Podobne do topoli, daje bardzo dobre drewno.

DRUGIEGO wieczoru wylazi z nas kompleks Rosji, i to tak nachalnie, że jestem tyleż zdziwiony (sądzilem, że z tym problemem uporałem się już dawno), co zażenowany.

— Azerbejdżanie lubią Rosjan? — pytam.

— Nie przeszkadzają nam, żyje ich sporo w naszym kraju. Na pewno mamy inny stosunek do nich niż do Ormian.

— Polacy z zasady nie lubią Rosji — usiłuję wypośredkować nasz punkt widzenia. — Odnoszą się do wszystkiego, co przychodzi ze wschodu, nieufnie. Wynika to bezpośrednio z naszych doświadczeń historycznych: Rosjanie od dwustu lat pracują na taki obraz wzajemnych odniesień. Jeszcze w czterdziestym piątym, szóstym wywozili naszych partyzantów na Sybir.

— Dlatego, że nie chcieli walczyć z Niemcami?

— Dlatego, że z grubsza biorąc, były u nas dwie partyzantki: jedna narodowa, podporządkowana rządowi w Londynie, i druga — jakby to powiedzieć — bardziej internacjonalistyczna, która odbierała dyrektywy od ludzi siedzących w Moskwie. Ci, co przyszli z rosyjskimi armiami, brali tych, co słuchali rządu w Londynie, i wywozili, zabijali...

— Sami partyzanci mogli wyzwolić kraj?

— Nie mogli.

— Więc wyzwolili was Rosjanie?

— Wyzwolili od Niemców, żeby podporządkować sobie.

— Ilu Rosjan poległo na waszych ziemiach?

nic dziwnego: aż do lat pięćdziesiątych naszego wieku przychodzili stamtąd do nas najczęściej wieszaki.

— Dużo mówiło się, że Polacy bezczestili mogli poległych żołnierzy radzieckich — pytają; i oczy wszystkich wlepione we mnie. Nie uciekniesz. No, myślę, po raz który propaganda oddała krajowi przysługę. Jest miło.

— U nas szanuje się wszystkich zmarłych. Gdybyście przyjechali do Polski pierwszego listopada, kiedy ich święto, zobaczylibyście na każdym cmentarzu dziesiątki tysięcy świec. Z własnych doświadczeń mogę powiedzieć, że w Lublinie pomnik radzieckich żołnierzy został ochlapany białą farbą, i to w południe, kiedy w mieście odbywało się spotkanie solidarnościowców z udziałem Wałęsy. Nikt nikogo za rękę nie złapał, to znaczy gdyby to zrobił zwykły przechodzień, przypuszczam, że błyskawicznie by go złapano. Wszyscy wiedzą, że to była prowokacja. W innych miejscach mogło być tak samo, chociaż nie można wykluczyć, że znalazł się jakiś zwyrodnialec i gdzieś coś zrobił.

— Taki margines można znaleźć w każdej nacji. My wiemy, że Polacy to czestny naród. Zrobili Ormianie konferencję naukową poświęconą Karabachowi, a zaproszonych gości większość stanowili uczeni amerykańscy ormiańskiego pochodzenia, ale był też profesor Tadeusz Świętochowski, znany w świecie turkolog, z pochodzenia Polak. Wszyscy występujący podkreślali prawo Ormian do Nagornego Karabachu, tylko jeden Świętochowski powiedział, że te ziemie od wieków są azerbejdżańskie, a Ormianie przyszli tam 150 lat temu. Co jest prawdą, bo koło Szuszy sami postawili pomnik pierwszemu Ormianinowi,



Prof. Shôgo Ôta

Fot. Andrzej W. Pawluczuk

NA zaproszenie Włodzimierza Staniewskiego gościł w Gardzienicach profesor Shôgo Ôta, wybitny dramaturg i reżyser z Japonii, twórca znanego w świecie teatru awangardowego Tenkei Gekijo. Panu profesorowi towarzyszyły jako tłumaczki dwie panie: Chizuru Sakakura-Okubo i Agnieszka Zuławska-Umeda. Pierwszą to Japonka, która studiowała kilka lat w Warszawie i polszczyzną posługuje się bezbłędnie. Pani Agnieszka zaś to córka znanego pisarza Juliusza Zuławskiego i wnuczka Jerzego, autora znanej powieści „Na srebrnym globie”; jest ona żoną Japonczyk. Czwartą osobą w tym towarzystwie, która doskonale mówi po japońsku, była pani Jadwiga Rodowicz, aktorka gardzienickiego zespołu. Zrozumiałe zatem, że językiem dialogu był japoński.

Okazało się to uzasadnione; teatru japońskiego nie sposób właściwie odczytać, jeżeli opisuje się go za pomocą europejskich pojęć i wartości. Toteż japończyzna (mimo, że prof. Ôta posługuje się biegle angielskim) była dowodem szacunku znakomitego gościa dla słuchaczy. Profesor chciał naprawdę przybliżyć nam swój teatr i — posilkując się slajdami, które ze sobą przywiózł — zrobił to znakomicie. Ale opowieść o początku.

Najpierw pan Shôgo Ôta obejrzał wioskę i tamtejszy pałac, w którym Stowarzyszenie Teatralne Gardzienice zajmuje kilka pomieszczeń. Potem był na spektaklu „Dekameron” w Teatrze Studyjnym i właśnie w foyer Bibliotece Łopacińskiego (Teatr Studyjny wystawia bowiem w BWA) zostaliśmy sobie przedstawieni.

Wracając do Gardzienic, gdzie przy stole, świecach i płonącym kominku miał profesor Ôta spotkanie z całym zespołem Stowarzyszenia Teatralnego, rozmawialiśmy o obecności w Japonii teatru europejskiego i polskiego. Dowiedziałem się, że nazwiska naszych najwybitniejszych pisarzy dramatycznych i ludzi teatru są tam dobrze znane. A więc Witkacy i Gombrowicz, Szajna, Wałda i Mrozek, a także nie-teatralny Schulz, który w Kraju Kwitnącej Wiśni ma niemal zagorzałych wielbicieli, jako pisarz ukazujący namiętność i mroczne zakamarki duszy. Była także rozmowa o inscenizacji „Dekameron”, którą profesor szczerze pochwalił za szczerłość aktorów i scenografię, a właściwie — jak powiedział — „pustkę scenograficzną”.

Po półgodzinnej jeździe (prowadził sam Staniewski) jesteśmy w gardzienickim pałacu. Sadowimy się za stołem. Ktoś podpala drwa w kominku, dziewczęta przynoszą w półmiskach to, co wcześniej przygotowały: ryż gotowany z jarzynami, ser z papryką, sałatę z dużymi plasterkami krojonych pieczarek, chleb, herbatę oraz wiele innych rzeczy, których nie zdołałem spróbować, ponieważ zajęty byłam słuchaniem. Było też trochę dobrego alkoholu („Stock”), wódka „Finlandia” i doskonałe wino hiszpańskie, który, jak wiadomo, ułatwia przelamanie pierwszych lodów i rozwiązuje języki.

POLSKI TEATR ZMIENIŁ JEGO DUSZĘ

Andrzej W. Pawluczuk

Profesor Ôta zobaczył po raz pierwszy przedstawienie „Gardzienic” na ubiegłorocznym Nowojorskim Międzynarodowym Festiwalu Sztuk („The New York International Festival of the Arts”), ale o samym teatrze słyszał przedtem wiele dobrego, ponieważ „o Gardzienicach dużo się w świecie mówi”. Urzekła go wtedy siła i głębia w przedstawieniu „Awwakuma”, i dlatego bardzo chciał spotkać się z zespołem. Chociaż nie zna polskiego, zrozumiał i przeżył to przedstawienie. „Nie trzeba znać waszego języka, by rozumieć wasz teatr — mówił dalej profesor Ôta o nowojorskiej inscenizacji „Awwakuma”. — Dziękuję wam, że mogę być teraz w Gardzienicach razem z wami i rozmawiać o teatrze”.

Nieco później, kiedy japoński gość wyświetlał slajdy i opowiadał o swoim teatrze, przekonałem się, że nie był to pod adresem zespołu „Gardzienic” grzecznościowy komplement. Teatr profesora Ôta i teatr Włodzimierza Staniewskiego mają wiele wspólnego, chociaż, oczywiście, wiele jest także różnic. Jednak japoński gość zwracał uwagę na podobieństwo i chciał, aby nie umknęło uwadze słuchaczy, że jego fascynacja polską kulturą znajduje głębokie uzasadnienie.

Teatr Tenkei Gekijo założył pan Shôgo Ôta w roku 1968, ale uważa, że na właściwą drogę twórczą wszedł dopiero w roku 1975, po pobycie na wrocławskim Festiwalu Teatru Otwartego. „Święto głodu”, które przywiózł na festiwal, nie odniosło w Polsce sukcesu, ponieważ — jak zauważył — jego widzenie człowieka było „bardzo płytokie, powierzchowne. Poczł to dopiero w Polsce, gdzie zetknął się z teatrem, który ludzkie sprawy traktuje nadzwyczaj poważnie i szczerze. Wtedy doszedł do wniosku, że musi nauczyć się nowego sposobu wyrażania i zaczął robić swój teatr w zasadzie od początku. „Ujawiam swoje osobiste myśli, ale Polska — powiedział profesor — jest dla mnie krajem bardzo ważnym”.

Potem profesor Ôta mówił o sztukach, które w swoim dorobku uważa za najważniejsze. Pierwszych kilka slajdów przedstawiało sceny z „Koma-chi Fuden”. Ten zrealizowany w roku 1977 spektakl mówi o poetce z trzynastego wieku. Najpierw, jako ładna i młoda kobieta, była chętnie goszczona

i słuchana, a później, w miarę starzenia się, stawała się coraz bardziej samotna. Wreszcie, opuszczona i niepoznanawana, wędruje po kraju, gdzie nikt jej nie potrzebuje.

Trzy następne ważne inscenizacje łączą wspólny tytuł „STACJA”. Były to: „Stacja Ziemia”, „Stacja Woda” i „Stacja Wiatr”. Symbolika ta jednoznacznie nawiązuje do buddyzmu, który wymienia cztery najważniejsze dla życia elementy: ziemię, wodę, ogień i wiatr. Pozostała jeszcze do zrobienia „Stacja Ogień”, ale profesor nie może na razie zdobyć się na myślenie o tym przedstawieniu. Jeszcze nie wierzy, że coś tak namiętnego i gorącego jak ogień można odtworzyć w teatrze.

Podczas rozmowy, która nawiązała się po tej prezentacji, Staniewski wyznał, że my, ludzie przeciętnego dwudziestego wieku, jesteśmy tak samo ludźmi gościńca, wędrowcami, jak owa trzynastowieczna poetka. Myślał o tym, już wcześniej, podczas festiwalu w Seulu, kiedy odkrył, że „Awwakum” jest przez Koreańczyków przyjmowany jako sztuka bliska i zrozumiała. Także teraz widzi, że doskonale rozumiemy się z japońskim gościem, chociaż mogłoby się wydawać, że bariera dwóch odległych kultur jest niemożliwa do

W DRODZE

JEST 8 rano. Na przystanku PKS przy ul. Spółdzielczości Pracy w Lublinie stoi spora grupka osób. Wszyscy czekają na autobus do Lubartowa. Niedługo ma przyjechać. — Będzie tłok? — pytam.

— Nie, szczyt już minął. Ci, co tam pracują, już pojechali. Autobus ZOZ-u z lekarzami też już odjechał.

Czekamy. Wreszcie przyjeżdża. Jest dużo wolnych miejsc. Siedzące obok mnie dwie kobiety wybrały się do Lubartowa na zakupy. Prysłuchuję się rozmowie:

— Patrz pani, jak to się dzieje. W Lublinie w sklepach „puchy” a 25 km dalej wszystko.

— I tańsze — dodaje druga. Po półgodzinnej jeździe jesteśmy na miejscu. Informuje o tym wymalowany na ścianie mijanego budynku napis: „Lubartów wita”. I herb „Lewart” — pamiątka po założycielach miasta, Firlejach.

Wysiadam przy „Unitarze”. Mijam oszkloną gablotę z magnetofonami najnowszej generacji, produkcji tego zakładu. Z nich słynie Lubartów. W „Unitrze” pracuje ponad 2 tysiące osób. Co szósty zatrudniony w przemyśle mieszkaniac Lubartowa lub okolic jest jej pracownikiem.

Sekretarka kieruje mnie do rzecznika prasowego, pana Romana Radko. Gdy mówi on o funkcjonowaniu zakładu, szczególnie nacisk kładzie na preferencje dla młodych.

— Oni mogą jedynie zapewnić dalszy rozwój „Unitry”. Jeżeli na przykład mamy mieszkanie i jest dwóch kandydatów: sprzątaczką, samotną matką, nawet z wieloletnim stażem pracy, i młody, nowy w zakładzie, ale z wykształceniem, to oczywiście mieszkanie otrzyma on. Nie jest to popularne wśród załogi, przynajmniej, ale cóż, tak być musi, jeżeli chcemy dalej istnieć.

Dopiero dużo później słyszę pogłoskę, jakoby „Unitra” stała na granicy bankructwa.

AWANS

W latach 60. Lubartów był małą, powiatową miasteczką.

Niewielki przemysł. Pożydowska, najczęściej drewniana zabudowa. Wiejskie chaty i pola. Gospodarstwa rolne. Główną ulicą pędzono krowy na pobliskie pastwiska. Dzień pracy odmierzany był rannym i wieczornym udojem... Ot, większa wieś.

Dziś ciąg zabytkowych kamieniczek co krok przerywa nowy sklep, wielki pawilon handlowy, budynek biura, zakładu. Zagubił się klimat małego żydowskiego miasteczka, opiewanego przez Rosiewicza. Stare powoli zastępuje się nowym. Bez planu jednak. Chaotycznie i jakby na chybił.

Co wpłynęło na zmianę oblicza Lubartowa? Z opracowań dotyczących miasta wynika, że ma to bezsporny związek z VI Zjazdem PZPR. Na nim ustalono bowiem „nowe kierunki rozwoju kraju”. Lubartów „załapał się” w planach budowania drugiej Polski. W latach 70. powstały tu Zakłady Radiowe, będące na początku filią warszawskiego „Kasprzaka”, Zakłady Garbarskie, Rozlewnia Gazu Płynnego, Zakłady Krawiecko-Ku-

SZUKAM

Dokończenie ze str. 6—7

Jeszcze tylko ostatnie spojrzenie na zastępną w zadumie głowę poety na postumencie przed wejściem do muzeum. Białoczerwone maki jeszcze nie zwiędły...

Na koniec refleksja, jakich wiele na mickiewiczowskim szlaku. Budynek, postawiony na fundamentach domu rodzinnego poety, jest podniszczony, pozbawiony wygód. Wilgot i zimno, brak kanalizacji, nie spełniają wymogów prowadzenia takiej placówki. Zastroskana tym stanem rzeczy dyrektorka muzeum, Liliana Usenko, podzieliła się swoimi kłopotami z redakcją „Czerwonego Sztandaru”, no i doszło do kontraktu z wileńskim przedstawicielstwem „Budimexu”. Szybko zabrano się do opracowania projektu, a następnie rewaloryzacji siedziby Mickiewiczów. Poprzedzony badaniami hi-

śnierskie „Gracja”, rozbudowano Hute Szklane.

Tysiące nowych miejsc pracy musiało spowodować ogromny napływ ludzi do Lubartowa. I spowodowało. Tłumnie zaczęli się tu osiedlać mieszkańcy okolicznych wiosek. W 1988 roku — na przykład — spośród 513 nowo przybyłych, z miast było 95, podczas gdy ze wsi 418 osób.

— Z reguły przyjeżdżali tu młodzi ludzie — słyszę. Rodzice — rolnicy kupują im mieszkania. Dziwne, że jakos nikt się nie zastanawia, że niedługo nie będzie komu orać w polu — mówi mój rozmówca.

Cóż robić, awans. Społeczny.

było. Kredyty rozkładać na raty. Ale już w końcu lat 70. na własny kąt trzeba było czekać 5—6 lat. W samym roku 80.—8, a dziś — 15. Często spotykamy się z zarzutem, że budujemy dla wsi. Miejscowi, rdzenni lubartowianie pewnie osiedla nazywają nawet „Nowe Chomąto” czy „Żuławy”.

— Dlaczego z mieszkańiami jest tak źle? — Stanisław Będkowski powtarza moje pytanie. — Bo nie ma już terenów uzbromionych. Nie mamy gdzie stawiać tych nowych bloków. Wymagania finansowe właścicieli parceli są tak ogromne, że nie można im sprostać. Dopóki obywatel będzie mógł wszystko, a władza nic, to dalej bę-

Lubartowie — mówi z-ca dyrektora Liceum Ogólnokształcącego, Zbigniew Chadaj. — Przede wszystkim zapomniano o szkolnictwie średnim. W jednym budynku gnieździ się Liceum Ogólnokształcące, Liceum Medyczne i Szkoła Zawodowa. Zamiast 300—400 uczniów przebywa tu ich ok. 1400. Na 37 klas sal lekcyjnych z prawdziwego zdarzenia jest 15. Część młodzieży z Lubartowa musi dojeżdżać do liceów w Kocku czy Michowie. Nasz budynek nie jest z gumy — dodaje. — Są trzy podstawówki, buduje się czwartą, a o naszej sytuacji nikt nie pomyśli. Jest tragicznie, a będzie jeszcze gorzej — kończy.

scy jeździć do pracy? Tam też o robotę nietawo.

Poszukując dawnych klimatów, zapuszczam się w boczne uliczki. W ten sposób odkrywam Krzywe Koło, Przechodnią i inne, małe, urokliwe uliczki. Planuje się ich powolną likwidację. Szkoła.

CO TU ROBIĆ?

Oczywiście zakupy. Zastępca naczelnika, Jan Domański, chwalił się, i nie bez powodu, że Lubartów jest jedną z lepszych baz handlowych. Niemal cała Lubelska to ciąg sklepów, sklepików i dużych pawilonów handlowych. A poza tym? Co tu robić?

Zagadnięte na ulicy dziewczęta zastanawiają się nad tym pytaniem długo. Bezradnie rozkładają ręce.

— W „Astrze” było podobno kiedyś przyjemnie — mówi jedna. — Ale teraz to tam można, zamiast kawy, po pusku dostać. No, może jeszcze „Ariańska”. Ale tutaj nie ma zwyczajnego chodzenia do kawiarni — dodają.

Kierowniczka Lubartowskiego Domu Kultury, pani Maria Mazurkiewicz, mówi, że z wielu imprez trzeba było zrezygnować z powodu... braku chętnych. Może trochę lepiej jest w innych domach kultury, ale o dużym zainteresowaniu młodzieży trudno mówić.

Dlatego ciekawą, choć na małą skalę inicjatywą jest Młodzieżowe Koło Przyjaciół Muzeum. Zawiązane przez Pawła Tregera — pracownika Muzeum Regionalnego — skupia ok. 30 osób. Nie ma tutaj żadnych zebrań, sprawozdań. Oglądam właśnie przygotowania do otwarcia ich własnej wystawy. Przedstawi efekt ich pracy na obozie etnograficznym zorganizowanym w Ostrowie Lubelskim. Dziesiątki eksponatów, kart inwentaryzacyjnych, zdjęć. Sam Paweł Treger marzy o stworzeniu tutaj muzeum na miarę prawie Muzeum Narodowego. Systemy alarmowe są już zainstalowane.

— Może zrobimy wystawę malarstwa Jacka Malczewskiego — marzy. — Bo sztuki trzeba uczyć się od dziecka. I to dobrej sztuki.

Ale w Lubartowie takich zapaleńców jest, niestety, niewiele.

— To gdzie tutaj spotyka się młodzież? — pytam w końcu dziewczyn.

— U księdza — pada odpowiedź.

Ksiądz dziekan Andrzej Tokarzewski jest znaną osobą w Lubartowie. W kościele na tacę zbierał pieniądze na budowę nowej szkoły. Jego pomysłem był mecz piłkarski: władze miasta kontra kler, podczas którego to meczu zbierano pieniądze na zakup lekarstw dla szpitala. Uzbierało się tego wówczas 674 tysiące zł. Również księży zajmują się od trzech lat lubartowskimi narkomanami. W lecie tego roku ksiądz dziekan zaprosił z ambony młodzież na potańcówki na przykościelnym placu.

— Kiedy w domu kultury wstęp na dyskotekę kosztuje 500 zł, a nas było za darmo — mówi. Na moje zdziwienie taką działalnością sług kościoła, ksiądz dziekan odpowiada: — Ktoś się przecieżż tak młodzieżą zająć musi.

Przed wyjazdem idę obejrzyć z bliska lokalne dziwko. Na niewielkim placu, za starą apteką na rynku, buduje się dziwną konstrukcję z supereksu. Ni to mały pawilonik handlowy, ni domek. Odbywa się tu „odtworzenie komórek”... Tak określili to władze miasta.

„O wielu sprawach zapomniano w Lubartowie” SZKIC Z MIASTA GIERKA

Violetta Krasnowska



Główna ulica...

Fot. Violetta Krasnowska

DOMY I ULICE

Lubelska jest główną ulicą Lubartowa. Przy niej skupia się całe życie miasta, tu mieszczą się najważniejsze instytucje. Niedaleko niej, przy ul. Cichej w Osiedlowym Domu Kultury mieści się lubartowska spółdzielnia mieszkaniowa. Jej prezes, pan Stanisław Będkowski jest, ale nie dla mnie. Zajęty. Trzeba czekać.

— Pracę dali, a mieszkania nie — skarży się kobieta zagadnięta przed budynkiem. — Od 1982 roku nie przyjmują nawet na kandydatów.

Potwierdza to potem w rozmowie sam prezes. Kłopoty z mieszkańiami zaczęły się w latach 70.

— Pobodowali zakłady i koniec. A przecieżż z tymi młodymi, co przyjeżdżali do pracy, też trzeba było coś zrobić — mówi. — Jeszcze w latach 60. mieszkania dostawał, kto chciał, i to prawie od ręki. Namawiać trzeba

dzie źle. Nie nasza to sprawa, tylko władz miasta. Ale to jeszcze nie wszystko. Katastroficznie jest z ciepłem. Na 13,9 km² powierzchni miasta sieć ciepłota obejmuje zaledwie 5,8 km. Centralną dostawą ciepłej wody objętych jest zaledwie 2,5 tysiąca m². Trudno uwierzyć — mówi prezes — ale Lubartów ma tylko jedną kotłownię. Co roku modlimy się o lekką zimą. Jeżeli nic się nie zmieni, to nie widzę żadnych możliwości dalszego rozwoju budownictwa mieszkaniowego.

Lubartów nie ma także i gazu. W starych blokach trzeba gotować na kuchniach węglowych. W nowych wstawiane są już butle gazowe, ale na ponad 20 tysięcy mieszkańców ich odbiorcami jest zaledwie 5 tysięcy osób.

Nowa, dziś już niezbędna oczyszczalnia ścieków planowana jest dopiero pod koniec 2000 roku.

— O wielu sprawach zapomniano w

Urzędzie Miasta honory domu pełni tymczasem zastępca naczelnika, Jan Domański. On uważa, że właśnie w latach 70. Lubartów miał szansę wybić się i doskonale ją wykorzystał.

— Dzięki temu dziś jest to miasto jedno z niewielu, które po likwidacji powiatu nie stało się w miejscu, jak na przykład takie Bełżyce... Problemy są, a jakże. Jeszcze nigdy tak drastycznie jak teraz nie odczuwało się braku funduszy na inwestycje — mówi.

Siedzący na ławeczce w przypałacowym ogrodzie mężczyzna ma dość oryginalną wizję przyszłości Lubartowa.

— Ja nazywam to miasto miastem Gierka. Powstałe w epoce wielkiego rozmachu, w obecnych czasach nie ma racji bytu. Za dużo było wielkich planów, za mało możliwości ich realizacji. Styszała już pani, że „Unitra” bankrutuje. Co, do Lublina będą wszy-

MICKIEWICZA

starym projekcie zachowuje wierność oryginałowi. Nawet są propozycje, by odtworzyć także chutor w Zamosiu. Wprawdzie o Mickiewiczu można milczeć, bo on i tak wielki, ale lepiej nie nabierać wody w usta...

Jest to kontrakt wyjątkowy. W porównaniu z setkami bardzo poważnych transakcji, zawieranych przez „Budimex” w wielu krajach świata, przedsięwzięcie nowogródzkie jest bardzo małe. Tę budowę firma mierzy jednak inną miarą. Podpisaniu kontraktu towarzyszyła ekipa TV polskiej i dwaj przedstawiciele zespołów filmowych, no i oczywiście władze Białorusi. Budowę rozpoczęto niemal z marszu, trwają już wykopy pod oficynę domu. Oby Adam Mickiewicz miał tu więcej szczęścia niż w Wilnie, w załku Pilies, dom nr 11.

„Ktokolwiek będziesz w nowogródzkiej stronie, do Płuzyn ciemnego boru wjehawszy pomnij zatrzymać swe kó-

nie, byś się przypatrzył jezioru...” — przypominam w myśli nakaz poety i czekam niecierpliwie owej chwili. Skręcamy na Baranowicze. Teren pagórkowaty, jak nasze Roztocze. Płaty śniegu przy drodze, a dalej już niebiesko od przebieśnięgów, schyłek kwietnia. Wreszcie po lewej stronie las rzędnie, wielka spokojna mroczna woda! Świtez! Zatrzymujemy konie mechaniczne, kierowca zapala papierosa. A mnie serce mooniej zabiło... Dęby, pamiętające chyba Adama, wiodą senne rozmowy. Szelest liści raptem się wzmaga, to sygnał: uwaga intruzi! Kępa brzożek nad brzegiem w lustrze kałuży, wiatr cichnie, spokój, cisza. Obejmują brzożkę, pstryk! Woda dostojnej ciszy, lustro spokojnego jeziora, świergot zaniepokojonych ptaków. Już nie wchodzi w nią, w drózkę napęczniałą żyłastymi korzeniami, wokół jeziora wiodącą. Czas nas poprzedza, monotonnie cyka licznik

wolgi-taxi, wynajętej na cały dzień przez Związek Pisarzy.

WRACAMY. Znowu lasy i cisza. A we mnie kłębi się poezja, Czechowicz znowu śpiewa:

*i znów litwa jeziornej jesieni
chora borów na wzgórzach
mosiądzem
wody pod łodzią rumieniec...*

Późnym wieczorem docieramy do Wilna. Ciągnie mnie nad Wilejkę. Wilejka to czy Wilenka? — pytam siebie, po raz nie wiem już który. I cóż, że się Mickiewicz pomylił, niech żyje poezja! Niech więc pozostanie Wilejka, jeśli mam wędrować śladami mistrza Adama, a nie encyklopedycznych definicji. Nad Wilejką — gotyk św. Anny. A obok — on: „Adomas Mickevičius”. Raz jeszcze czytam te dwa tylko wyryte na pomniku słowa i nie obchodzi mnie to, że turysta amerykański czy Niemiec z RFN może nie wiedzieć, iż chodzi o mojego Adama Mickiewicza. Ja wiem. I szukam dalej...

Muszę odejść, młodzież mnie potraça, okolice pomnika zaczynają wrzeć. Trafiam akurat na jakiś wieczerz poezji. I słyszę głos dziewczęcy. Dziewczyna deklamuje wiersz Kazimierza Hłakowiczówny „Wezwanie”, ze zbioru „Słownik litewski”, opublikowanego w roku 1936:

*O Litwo, o ojczyzno,
teraz się do mnie przyznaj!
Niczyja, z gniazda wypchnięta,
tutaj mnie przygarnięto.
Najlepsze, wybrane ziarno
dostawałam w Polsce za darmo.
Siałam ziarno w ziemię uprawną
w dzieciństwie, w młodości,
niedawno.*

*Wszedło pole całe polozicste,
złociste, kłosiste, faliste.
Ubrałam się z tego żniwa
Jak monarchini prawdziwa.
Lecą ptaki ze wschodu, zachodu,
pytają, jakimogm rodę.
O Litwo, o ojczyzno,
teraz się do mnie przyznaj!*

Henryk Makarski

NA zaproszenie władz UMCS przebywał w Lublinie wybitny włoski prawnik, dyrektor Instytutu „Ridenti” Uniwersytetu w Bolonii, prof. Federico Carpi. Wygłosił dwa wykłady: „Sądowa ochrona praw człowieka według prawa wewnętrznego i międzynarodowego” oraz „Reforma procesu sądowego cywilnego we Włoszech”. Profesor Carpi jest specjalistą od procedury cywilnej, skuteczności orzeczeń zabezpieczających roszczenia, a także zwawcą zagadnień ochrony praw człowieka. Właśnie tym sprawom poświęcony był wielki Kongres w Bolonii, zorganizowany z inicjatywy profesora i przy okazji obchodów 900-lecia najstarszego w Europie Uniwersytetu Bolońskiego.

— Zatrzymajmy się na chwilę przy waszym jubileuszu. O ile wiem, zgromadził on wielu luminarzy nauki, głowy państw, znanych polityków.

— Przybyło około 800 rektorów wyższych uczelni z całego świata, wiele znakomitości nauki, był papież Jan Paweł II, król Juan Carlos, prezydenci Suarez, Mitterrand, Alfonsin, matka Teresa z Kalkuty, a także m.in. Aleksander Dubček i Andriej Sacharow. Podpisano uniwersytecką Magna Chartę — powszechną deklarację podstawowych zasad praw profesorów i studentów.

Oczywiście jubileusz był okazją wymiany poglądów uczonych z całego świata, a już specjalne miejsce zajął Kongres w sprawie ochrony praw człowieka, w którym uczestniczyli najwybitniejsi przedstawiciele prawa cywilnego, karnego i sądowego z całego świata. Polskę reprezentował swym referatem prof. Mieczysław Sawczuk, za pośrednictwem którego zostałem tutaj zaproszony.

Głównym problemem, jaki dyskutowaliśmy, były środki gwarantujące ochronę praw obywatelskich. W centrum uwagi znalazł się zakres ochrony sądowej typu europejskiego, który realizuje Sąd Wspólnoty Europejskiej w Stambourgu. Do sądu tego może zwrócić się każdy, kogo prawa byłyby naruszone przez akty administracji państwowej. Jest to próba uniwersalizacji pewnej formuły konstytucyjnej ochrony sądowej i Kongres był okazją do jej upowszechnienia.

— Jak pan ocenia stan przestrzegania

nia praw człowieka na świecie? W jakich rejonach wygląda to najgorzej?

— To bardzo trudno odpowiedzieć jednoznacznie, i to się zmienia. Na liście Amnesty International znajdują się 133 państwa, gdzie stwierdzono przypadki łamania praw człowieka, więc to jest ponad pół świata. Oczy-

wicie, ma to różną skalę i represyjność. Rażąco przypadki łamania praw człowieka mają miejsce w Ameryce, Europie, Azji, w państwach różnych systemów. Dla przykładu — i to mocno podkreślano w trakcie Kongresu — wydawało się, że przemiany w Chinach idą we właściwym kierunku, że rysuje się dobra perspektywa. Aż przyszedł czerwiec, Plac Tiananmen i wszystko się zawaliło.

Jeden z uczestników obrad, prof. Joseph Weiler z Uniwersytetu Michigana, sformułował taką myśl, że jeśli na Marsie czy Wenus żyli kosmici, to patrząc na Ziemię, doszłoby zapewne do przekonania, że wszędzie u nas istnieje jakiś porządek prawny, ale rzeczywistość jest okropna. Stajemy tu wobec uniwersalizacji zasad ochrony praw człowieka, globalnych gwarancji ich przestrzegania. Tymczasem państwa mają tendencję do ukrywania swoich nieprawości.

— Co zatem należy i można zrobić?

— Uważam, że jest potrzebny Sąd Światowy, instytucja, do której każdy mógłby wnieść skargę na działanie państwa czy jego organów.

— Sądzi pan, że Sąd Strassbourski mógłby pełnić taką rolę?

— Tak, tak uważam.

— Jakie są jego możliwości egzekucyjne?

— Pełne. Trybunał Strassbourski powołano na mocy Europejskiej Konwencji Ochrony Praw Człowieka z 4 grudnia 1958 roku. Jest on wkomprowany w cały system polityczny Wspólnoty Europejskiej. Państwo może zostać zaskarżone przez obywatela lub grupę obywateli do Trybunału i jeśli przegra, wyrok zawsze musi być wykonywany.

POLSKA JEST KRAJEM W RUCHU..

Rozmowa z prof. Federico Carpi z Uniwersytetu w Bolonii

— Tak, ale Strassbourg funkcjonuje w Europie Zachodniej, gdzie przestrzeganie praw obywatelskich i tak stoi na najwyższym poziomie. Obawiam się, że jego możliwości wobec niektórych reżimów, niepraworządnych z natury rzeczy, byłyby bardzo ograniczone.

— Bo to jest w istocie problem politycznej natury. Przecież ani Deklaracja Praw Człowieka ONZ, ani Pakt Praw Politycznych i Obywatelskich nie przewidują możliwości egzekucyjnych, które ma Strassbourg. Trybunał Światowy musiałby się opierać na powszechnej konwencji, ku temu trzeba zmierzać, o tym dyskutować, tworzyć klimat, zgoda, że w świecie bardzo podzielonym i różnym.

— Jest pan wprawdzie w Polsce po raz pierwszy, ale jako uczyony przywiózł pan chyba ze sobą bagaż pewnej widzy na nasz temat. Jak wygląda jej konfrontacja z rzeczywistością?

— Raczej spodziewałem się tego, co zobaczyłem. Sytuacja jest w Polsce bardzo interesująca, warunki dla przestrzegania praw obywatelskich — korzystne. Polscy sędziowie mają we Włoszech opinię niezależnych, nie powiązanych z administracją. Wiem, że robi się teraz sporo na rzecz gwarancji tej niezależności. Ale na przykład Trybunał Konstytucyjny ma charakter niebezpośredni; pojedynczy obywatel nie może przed nim skarżyć aparatu państwowego czy administracji. Poza tym Polska jest krajem w ruchu, społeczeństwem, które chce zmian, chce się modernizować, chciałoby spokój i stabilizacji. To jest rzadki w dzisiejszej Europie dynamizm. Wasz eksperyment — przepraszam, że tak

to określam — jest bardzo ważny także dla waszego otoczenia zewnętrznego, dla Europy i świata.

Zwiedzałem w Lublinie stary cmentarz, oglądałem groby karbonariuszy, wolnomularzy, były tam i włoskie nazwiska. Tak, mamy wiele elementów wspólnych. Polacy cieszą się we Włoszech naprawdę wielką sympatią. Uderzające, wszędzie spotykam się z tyłoma śladami waszych rodaków i z żywymi Polakami, którzy walczyli o cudzą wolność, że Polak zaczyna mi się jawić jako synonim tej walki.

— To jest nasza cecha naiwno-romantycznych bojowników?

— Nie, to jest po prostu bardzo szlachetne i sądzę, że to się przejawia i w tym uporze, z jakim budujecie swoją nową rzeczywistość.

— Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał:
Leszek Wisniewski

„ZIENNIKARZ nie jest od dawania rad, on ma tylko rzetelnie rejestrować to, co istnieje” — napisał pan Andrzej W. Pawluczek w swej relacji z zebrania w bazie transportowo-sprzętowej w Opolu, zatytułowanej „Likwidacja w Opolu”.

W następnym już jednak zdaniu zaprzeczył wcześniejszej deklaracji, pisząc, że: „Jednak wyjątkowość sytuacji w kraju i wyjątkowość sytuacji w bazie transportowej w Opolu zmusza do napisania, jak widzę i czuję tę sprawę” [podkr. J. M.]

Takie stwierdzenia (nic nowego) padały często w prasie, gdy triumfy święciła tzw. dyktatura proletariatu, a redaktorzy stanowili... wyrocznie. Opublikowany artykuł dowodzi, że pan Andrzej W. Pawluczek „widzi i czuje”, nie mając dostatecznej wiedzy o tym, co pisze, a w szczególności, wydaje się, nie rozumie zachodzących procesów ekonomicznych.

Aby „widzieć i czuć tę sprawę” — a potem jeszcze zdobyć się na rzetelną relację, wypadło przed tym dowiedzieć się, że:

1. W Okręgowym Zakładzie Transportu i Maszyn Drogowych w Lublinie jest ponad 20 podobnych jak w Opolu jednostek, działających na obszarze pięciu województw, zatrudniających łącznie ok. 1300 osób (dla porównania w 1980 roku pracowało 1900 osób). W Opolu zatrudnione są 33 osoby.

W dwóch trzecich swoich zadań OZTiMD świadczy usługi na rzecz jednostek drogownictwa okręgu lubelskiego, w jednej trzeciej produkuje maszyny i urządzenia dla drogownictwa w kraju.

2. Wskutek wiosennych protestów i strajków załoga Zakładu wywalczyła płace, dla zagwarantowania których należało wykonać plan roczny wartości 11 mld zł. Wówczas jeszcze zapotrzebowanie na naszą pracę było wystarczające. W wyniku późniejszych cięć budżetowych (drogownictwo jest finansowane przez budżet), pieniądze na budowę i utrzymanie dróg zostały zmniejszone o połowę. Zawężił się gwałtownie front pracy. Aktualnie spodziewamy się wykonać plan roczny wartości tylko 7 mld zł. I tylko z tego powodu (przy uzyskiwanych poprzednio dobrych wynikach ekonomicznych) na przestrzeni br. zostały zlikwidowane bazy transportowo-sprzętowe w Łosicach, Krasnymstawie, Tarnobrzegu i Włodawie.

Poza tym połączono zarząd OZTiMD z oddziałem eksploatacyjnym i produkcyjno-remontowym w Lublinie, co dało określone efekty w oszczędności etatów (głównie umysłowych) i zmniejszenie kosztów. Obecnie przyszła kolej na likwidację bazy w Opolu.

3. Wszystkie jednostki terenowe (bazy) zostały zorganizowane tak, aby ich kierownictwo samodzielnie organizowało i koordynowało prace na obszarze swojej działalności. Jest konkurencja między jednostkami. Lepszy są lepsi!

Baza w Opolu konkurencji nie wytrzymała: w 1987 roku miała 4 mln zł strat, w 1988 roku — 7,4 mln zł strat. Gdyby istniała do końca 1989 roku (przy dzisiejszych cenach), straty wyniosłyby ok. 90 mln zł. Takiego ciężaru już nie udźwignęłaby pozostała załoga Zakładu!

4. Wprowadzany system organizacyjny Zakładu zmierza do tego, by w całym okręgu dróg publicznych jedna baza obsługiwała jeden Rejon Dróg Publicznych. Natomiast krańcicki RDP obsługuje aż trzy bazy (w tym nieefektywna baza opolska).

W ubiegłych latach system organizacji i rozliczeń umożliwiał funkcjonowanie jednych kosztów drugich. Dziś, w wyniku wprowadzanych nowych zasad gospodarowania, każdy musi być rentowny.

5. Pracownicy bazy w Opolu wiedzieli o tym, że ktoś do nich dokłada. W ostatnich dwóch latach na temat sytuacji gospodarczej i zagrożenia bytu tej jednostki odbyło się w Opolu siedem spotkań z załogą. Argumenty ekonomiczne są brutalne, ale decydujące. 31 marca kierownik bazy otrzymał polecenie zmniejszenia zatrudnienia w grupie pracowników biurowych i mechaników. Polecenia nie wykonał! Był to ostatni moment na podjęcie próby ratowania części bazy. Został zaprzeczony przez opolskich pracowników!

„Likwidacja w Opolu” SPROSTOWANIE

Dlatego argument załogi, że: „nie należało ukrywać zamiaru likwidacji bazy i powiedzieć o tym dwa lata temu” — jest nie do przyjęcia. „Konja z rzedem” temu, kto mógł przewidzieć dzisiejszą sytuację ekonomiczną przed dwoma laty, oraz to, że załoga bazy nie podejmie żadnych prób zmniejszenia deficytu???

6. Nie sposób ustosunkować się do wszystkich zarzutów tej „relacji”. Ten jednak, jakoby był „bezsensowny pomysł wymiany silników benzynowych na diesle” — jest kompromitujący. I tak zapewne odebrał go każdy, kto ma choć minimalne pojęcie o motoryzacji.

Konieczność wymiany silników wynikała z przesłanek ekonomicznych. Co jest bardziej opłacalne: zużywanie większej ilości droższej etyliny, czy mniejszej ilości tańszego oleju napędowego? Drugi argument to — wyeliminowanie handlu „zaoszczędzoną” benzyną, która była wówczas na kartki. Trzeci — to bezwzględny zakaz z Ministra Komunikacji, zawarty w rozporządzeniu z 31 marca 1984 roku, w sprawie zakazu używania niektórych samochodów ciężarowych”. Zakaz dotyczył właśnie tych samochodów, których broniła załoga opolskiej bazy w „relacji” p. Pawluczuka! A Minister pozwolił używać tylko te samochody, których „silniki z zapłonem iskrowym zostaną wymienione na silniki o zapłonie samoczynnym”. Akcja wymiany silników była w owym czasie ogólnopolska. Brak znajomości rzeczy kierownicy zawodowemu można wybaczyć, ale żeby nie wiedział o tym dziennikarz wypowiadający się na tematy transportu i ekonomii?

7. Zarzut otrzymywania przez bazę w Opolu gorszych samochodów jest również nietrafny, gdyż przeciętny wiek samochodów w Zakładzie wynosi 9,7 lat, a w opolskiej bazie 7,46 lat. Tak więc Opole dysponowało nowszym niż inne bazy sprzętem, przynosząc... straty.

8. Pan Pawluczek w swojej „relacji” pomylił prawie wszystkie fakty: to kto kim jest, kto gdzie siedział, o czym kto mówił, a zwłaszcza jaki był temat spotkania. Zebranie odbywało się bowiem nie na temat, czy likwidować bazę w Opolu, bo o tym decydują argumenty ekonomiczne, bo tego rodzaju decyzje podejmuje dyrektor, na podstawie wyliczeń księgowego, a nie głosów w dyskusji kierownicy czy mechanika likwidowanej jednostki.

Tematem zebrania było wspólne określenie, w jaki sposób, najmniej dotkliwy dla załogi bazy, przeprowadzić jej likwidację. To, że pan Pawluczek nie zapoznał się z właściwym tematem, a także z argumentami ekonomicznymi, poprzedzającymi decyzję o likwidacji (które od dwóch lat znała załoga bazy) — twierdząc przy tym, że ich nie ma, to zupełnie inna sprawa.

Trzeba mieć jednak niesłychany tupet, by po trzygodzinnym zebraniu przedstawiać gotowe recepty na prawidłowe zarządzanie przedsiębiorstwem! To jest właśnie klasyczny przejaw arogancji z minionej epoki, kryjącej się pod nowymi hasłami.

Pan Pawluczek cytował także obszernie wypowiedzi Dyrektora RDP z Krańcicki, którego na zebraniu w ogóle nie było! Przewodniczącemu NSZZ OZTiMD zarzucił, że „siedział przy stole z dyrekcją”, a ten siedział na sali z załogą bazy. Zarzucił, że „bronił przez trzy godziny stanowiska dyrekcji”, a w rzeczywistości raz, i to krótko, zabrał głos. Przewodniczącemu KZ „Solidarność” przysłał nieobecność i lekceważenie załogi bazy, podczas gdy ten w Łodzi bronił interesów całej załogi Zakładu. Kolejny zarzut, iż zakładowa „Solidarność” nie zrobiła projektu reorganizacji opolskiej bazy — jest już szczytowym niezrozumieniem zadań związku zawodowego, którego kompetencje są określone w art. 35 ustawy o związkach zawodowych i dotyczą ochrony indywidualnych i zbiorowych interesów pracowników, a nie projektowania struktur organizacyjnych przedsiębiorstwa. To już doprawdy należałoby pozostawić w rękach fachowców!

Pan Pawluczek uważa, że dyrekcja nie ma racji, obydwa związki zawodowe nie mają racji — ma rację jedynie on i kilka osób z nierentownej bazy, które potrafią efektywnie krzyknąć, ale nie potrafią efektywnie zapracować na branie z kasy Zakładu pieniądze. Odszedł już czas „chodzenia do pracy”, przyszedł czas zarabiania pieniędzy.

Obawiam się, że pan Pawluczek, zarzucając dyrekcji OZTiMD „wymanewrowanie” załogi, sam to uczynił z czytelnikami „Relacji”.

Dyrektor
Okręgowego Zakładu Transportu
i Maszyn Drogowych w Lublinie
mgr inż. Jacek Michałowski

Wojsko wprężnięte w służbę ideologii komunistycznej i systemu totalitarnego

ZWROT PAZDŹIERNIKOWY 1944

Janusz Wrona

WDALSZEJ części swojego wystąpienia na Biurze Politycznym KC PPR 22 października 1944 r. Aleksander Zawadzki zwrócił się do swoich współtowarzyszy „o wydanie dekretu o karach za przechowywanie dezerterskie. Jest to niestety ważne dla wojska. Idzie o to, żeby sądy wojskowe sądziły cywilnych za przechowywanie dezerterskie”.

Tezy Zawadzkiego powtarzał tow. Franek, czyli Franciszek Józwiak: „Jest zdania, że toleruje się postępowanie Roli. Daje on wszystko w ręce akowców. Przyjmując ich, nie tworzy żadnej przeciwwagi ze strony AL. Środkami zaradcze trzeba ustalić przy obecności dowódcy”.

Stanisława Radkiewicza, szefa resortu Bezpieczeństwa Publicznego, który był kolejnym dyskutantem, interesowały przede wszystkim konkretne działania: „Chodzi o środki zaradcze. Co jest w Armii, to wiemy. Dowództwo i Wydział Personalny, nie widząc kadrów naszych, oparło się na akowcach. Czy nie ma naszych? Mamy w I-szej Armii. Tam są ludzie, nasi komuniści, ze szkołami i siedzą na batalionach. Chłystki akowskie dostali wysokie stanowiska i wszystkie środki do swojej propagandy. Gen. Rola został sam. Wyszedł z budynku Zawadzki (Zawadzki: na jego rozkaz!). Stan jest więcej niż niebezpieczny. RUK zwalniają akowców. Wojsko wyfiltruje się z naszych rak. Oto teza. Nawet kontroli nie mamy, gdy Rola wyjeżdża, wszystko zostaje w rękach Berlinga” [podkreślenia — J. W.]

Ze słów Radkiewicza dość jasno wynika, iż Zygmunt Berling nie cieszył się zaufaniem kierownictwa PPR. Negatywnie oceniano również fakt odsuwania przez Michała Rolę-Zymierskiego od wpływu na wojsko zastępcy naczelnego dowódcy WP do spraw polityczno-wychowawczych, gen. brygady Aleksandra Zawadzkiego, który zmuszony został do opuszczenia budynku Naczelnego Dowództwa. W tej sprawie zabrał głos B. Bierut, który zaznaczył wręcz, że tylko na jego ostrą interwencję Rola zgodził się w despesy polecieć Zawadzkiemu obok Berlinga załatwić sprawy wojskowe.

Podsumowując swoją wypowiedź, szef resortu Bezpieczeństwa Publicznego oświadczył: „Sztab musi być nasz. Fachowcy akowscy, jeżeli już zostaną, muszą mieć kontrolerów. Akowców — szkodników musimy zlikwidować, aresztować. Rola się ich nie pozbędzie”.

W podobnym duchu wypowiedział się jeden z najbardziej wpływowych przywódców PPR, Jakub Berman, sugerując, iż została przerwana więź między partią a armią: „W związku z tym, że mamy obecnie »pieredyszke«, należy szybko działać. [...] Na terenach, które nam przyjdzie opanować, AK będzie związana o wiele bardziej z gestapo, aniżeli u nas. Przy perspektywie porozumienia się z Mikołajczykiem grozi w tym stanie rzeczy największe niebezpieczeństwo. Jest za 5 dwunasta” [podkreślenia — J. W.]

Następnie Berman skrytykował aparat polityczny za brak „wycucia linii politycznej i zadań, które stoją przed narodem”. W konkluzji swej wypowiedzi oświadczył: „Dowództwo Główne winno pracować na podstawie dyrektyw KC partii. Rola jest młodym członkiem partii i do niego nie można mieć pretensji. Pracę wojskową musi kierować partia [...] Nie zastąpimy braków oficerami I Armii. Tych wielu nie ma. Musimy wyciągnąć oficerów z elementu podoficerskiego i żołnierskiego i z nich zrobić oficerów. Skończyć z teoriami fachowców” [podkreślenia — J. W.]

Omawiane obrady Biura Politycznego zakończyły się przyjęciem propozycji jak najszybszego opracowania uchwały KC PPR w sprawach wojskowych. Zadanie to powierzono Hilaremu Mincowi i Marianowi Spychalskiemu. Za niezbędne uznano również opracowanie regulaminu pracy Dowództwa Głównego

WP. Projekt w tej sprawie miał przygotować A. Zawadzki.

TYDZIEŃ później Biuro Polityczne, dysponując projektem „Rezolucji w sprawie sytuacji i zadań w wojsku”, przedstawiło go na swym posiedzeniu 29 października nacelnemu dowódcy WP, gen. Michałowi Roli-Zymierskiemu. Ten nie ukrywał, że forma i treść dokumentu jest dla niego dużym zaskoczeniem. Jak zanotowano w protokole posiedzenia: „Tow. Rola potraktował Rezolucję jako wyraz nieufności do niego i do jego pracy. Nie rozpatrując Rezolucji merytorycznie, poprosił, by dać mu dwa dni czasu na złożenie jego uwag i wniosków na piśmie odnośnie Rezolucji”.

Usiłując uzasadnić zmianę stanowiska komunistów wobec dotychczasowych koncepcji i form budowania armii, sekretarz generalny PPR Wł. Gomułka wyjaśniał: „Myśmy sprawę wojska mocno zaniedbali. [...] Akowcy, na których w niedawnej przeszłości zdecydowani byliśmy oprócz częściowo Wojsko Polskie, okazali się w przygniatającej masie elementem wrogiem, który bezwzględnie trzeba usunąć. Niebezpieczeństwo jest tym większe, że porozumienie z Mikołajczykiem może nastąpić, co bezsprzecznie stworzy dodatkowe plusy dla AK. Jeśli nie zabezpieczymy się przed tym, to może zaistnieć sytuacja, iż wojsko przez nas budowane stanie się narzędziem w rękach reakcji. Wszyscy musimy zdawać sobie sprawę z tego, że u nas zachodzą zmiany o istocie rewolucyjnej. Zmiany te odbywają się w szczególnych warunkach. Mamy władzę u góry, lecz bynajmniej nie mamy całego aparatu państwowego w swoich rękach. **Demokratycznej Polski nie możemy budować przy pomocy stęrego aparatu władzy** [podkreślenie — J. W.]. Stary aparat musimy zniszczyć, budując na jego miejsce nowy, demokratyczny. [...] Wojsko jest podstawową siłą aparatu państwowego. [...] Sprawa wojska jest dla nas przede wszystkim zagadnieniem politycznym i dlatego Partia musi nie tylko ingerować w sprawy wojskowe, ale i kierować wojskiem”.

Sposób myślenia, jaki przedstawił W. Gomułka, jest na tyle klarowny i utrwalił się przez 45 lat istnienia PRL, że nie wymaga komentarza.

W pełni podzielał go B. Bierut: „Trzeba spojrzeć śmiało rzeczywistości w oczy. Akowcy siedzą w najważniejszych ogniwach wojskowych. Trzeba ich stamtąd usunąć i zastąpić elementem pewnym. Na AK wojska nie zbudujemy”.

Przysłowiową kropką nad „i” stawał, jak zwykle nastawiony pryncypialnie, Aleksander Zawadzki: „Wojsko, które dziś budujemy, ma być wojskiem określonego typu, a nie wojskiem w ogóle. [...] Najważniejszym dla budowania wojska o obliczu demokratycznym jest aparat polityczno-wychowawczy”. I jak twierdził Zawadzki, prawdy tej nie zrozumiał dotychczas M. Rola-Zymierski.

Wydaje się jednak, iż ten ostatni ocenił należycie powagę sytuacji i „by uniknąć zbędnej dyskusji, oświadczył, że zdaje sobie sprawę z tego, że jest na stanowisku Głównodowodzącego Wojskiem Polskim z decyzji Partii. Zawsze się Partii podporządkuje”.

Ta swoista deklaracja lojalności rozładowała nieco atmosferę obrad. Do wytworzenia klimatu wzajemnego zrozumienia dążył także J. Berman, który: „porównuje sytuację w wojsku do sytuacji, jaka zaistniała na odcinku reformy rolnej. Nasza Partia musiała dopiero dostać bodźca ze strony tow. Stalina, aby zrozumieć ważność zagadnienia i wziąć się do reformy rolnej. Dzisiaj sytuacja w wojsku jest taka, że wymaga zrucenia wszystkich sił Partii dla likwidacji groźnych niebezpieczeństw. Praktyka dowiodła, że stary korpus oficerski jest wrogi i na

niem budować nie można. My nie nadążamy za sytuacją. To, co przed paroma tygodniami mogło być słusze, dzisiaj staje się szkodliwe. Trzeba widzieć zachodzące zmiany. Za parę tygodni może znowu trzeba będzie szukać nowych środków i inne przyjmować uchwały [...]. Nie na płaszczyźnie zaufania stawiać należy Rezolucję, lecz na płaszczyźnie sytuacji”.

W podobnym duchu wypowiedział się M. Spychalski oraz H. Minc. Zasadnicze tezy J. Bermana ujął w swym podsumowaniu dyskusji W. Gomułka: „WA dni później, 31 października 1944 r., na kolejnym posiedzeniu Biura Politycznego, w obecności naczelnego dowódcy WP, gen. Michała Roli-Zymierskiego, kontynuowano dyskusję na temat nowego modelu polskiej armii i podjęto w tej kwestii istotne decyzje.

Zrywały one z formalnie obowiązującą zasadą apolityczności wojska. W sposób niejawni (dość typowa forma działania komunistów) powoływano i wprowadzano do Wojska Polskiego tzw. pełnomocników partyjnych, wyłanianych spośród członków Polskiej Partii Robotniczej bądź radzieckiej Wschodniej Komunistycznej Partii (bolszewików). W przyjętej „Rezolucji o zadaniach członków Partii w Armii i o pełnomocnikach partyjnych” zapisano, iż ci ostatni „kontrolują działalność polityczną oraz zachowanie się żołnierzy i oficerów — członków Partii i informują ich drogą indywidualnych rozmów o sytuacji politycznej i nastawieniu Partii. [...] Pełnomocnicy są przed KC PPR odpowiedzialni za stan moralno-polityczny swojej jednostki, co najmniej raz w miesiącu składają pełnomocnicy Armii i WP sprawozdania pisemne do KC PPR. [...] Za naruszenie ściślejszej tajemnicy przy wykonywaniu niniejszej uchwały członkowie Partii będą pociągnięci do surowej odpowiedzialności”. Na wniosek A. Zawadzkiego pełnomocnikiem partyjnym na całe WP został pułkownik Kornelik.

Istotne znaczenie miało również powołanie w ramach KC Wydziału Wojskowego w składzie: W. Gomułka, M. Rola-Zymierski, B. Bierut, A. Zawadzki i M. Spychalski, którym to wydziałem bezpośrednio miał kierować sekretarz generalny PPR.

Decyzja o wyłonieniu tego wydziału zawarta została w „Rezolucji Biura Politycznego KC PPR w sprawie sytuacji i pracy w wojsku”, przyjętej 31 października 1944 r. Dokonywała ona oceny, z komunistycznego punktu widzenia, rozwoju sytuacji politycznej oraz polityki kadrowej w odbudowującym się Wojsku Polskim oraz wytyczała kierunki i zadania niezbędne do zrealizowania zasadniczego celu, jakim było przejęcie pełnej kontroli nad armią przez partię komunistyczną.

Rezolucja ta, o której nader skąpo wspomina się w literaturze, zasługuje na baczną uwagę historyka.

„Sytuacja, jaka wytworzyła się obecnie we Wojsku Polskim — czytamy we wstępie »Rezolucji« — winna być oceniana jako budząca poważne obawy. Reakcja polska w swej rozpaczliwej walce przeciwko demokracji polskiej stawia główną stawkę, z jednej strony, na rozbięciu, z drugiej na opanowanie Wojska. Dążność do rozbięcia Wojska przejawia się w organizacji masowych dezercji. Dążność do opanowania Wojska przejawia się w planowym obsadzeniu głównych ogniw pod hasłem »siedzieć i robić robotę« oraz w tendencjach do formowania pod reakcyjnym kierownictwem jednostek »czysto polskich« jako przeciwstawnych innym jednostkom”.

WTYM miejscu niezbędna jest dygresja. Obawy przywódców partii komunistycznej budziła koncepcja jednostek, w których polscy oficerowie dowodzą będą polskimi żołnierzami. Nie dawały one pewności, że będzie można objąć je polityczną kontrolą. Zastrzeżeń nie miano natomiast

do jednostek formowanych według innych kryteriów. Jedną z nich opisuje Stanisław Harasimiuk, przedstawiając na łamach „Tygodnika Kulturalnego” (z 23 VII 1989) losy żołnierza AK, Tadeusza Antoszewskiego, który 1 listopada zgłosił się na ochotnika do II Armii WP:

„Pewnego dnia do laszar przybyli oficerowie radzieccy, będący dowódcami polskich formacji wojskowych. Wszyscy »ochotnicy« ustawieni zostali w dwóch szeregach, a oficerowie chodzili pomiędzy nimi i wybierali. Bez żadnej rozmowy, bez zagładania do papierów, wyłącznie na oko, po uważaniu”. Jeden z sowieckich oficerów wybrał Antoszewskiego i w ten sposób trafił on do 72 pułku artylerii ppanc, stacjonującego w Chelmie.

„Pułk Antoszewskiego — pisze S. Harasimiuk — rychło przeniesiony został na zimowe leże do lasów pod Międzyrzeczem Podlaskim. Po prostu w tamtejszych ziemłankach wojsko miało większe szanse przetrwać zimą. W międzyrzeczskich lasach stacjonowały zresztą dwa inne pułki. — Dziwne to było wojsko — wspomina Antoszewski. — Na pięćdziesięciu oficerów naszego 72 pułku ppanc aż 47 oficerów to byli Rosjanie, a tylko 3 Polaków. Najstarszy rangą, kapitan, był magazyńcem, poza tym był Polak porucznik i podporucznik. Za to szeregowcy i podoficerowie to byli wyłącznie rodacy” [podkreślenie — J. W.]

Zjawisko faktycznie występującej dezercji miało przyczyny bardziej złożone, aniżeli usiłovali to przedstawić przywódcy partii komunistycznej. Naczelny dowódca WP M. Rola-Zymierski podczas dyskusji nad „Rezolucją” w dniu 31 października stwierdził wprost: „olbrzymią część winy ponoszą oficerowie Armii Czerwonej, którzy rozpijają się, rozkradają przeznaczone dla żołnierzy umundurowanie i żywność”. Trudno było w tej sytuacji wytworzyć niezbędną więź między niepolską kadrą dowódczą a żołnierzami. Sprzyjało to zjawisku dezercji.

„Codziennie wieczorem — pisze St. Harasimiuk — podczas apelu na wyjąbaną środlesnej polanie trzy pułki ustawiały się pod kątem prostym, tworząc literę U. I codziennie we wnętrzu tej litery odbywał się sąd polowy nad dezerterskimi, bo codziennie ktoś próbował uciekać, sam lub w całej grupie. Sąd polowy składał się z radzieckiego oficera w polskim mundurze, podoficer Polak pełnił rolę prokuratora, a szeregowiec obrońcy. Sędzia zawsze, bez jednego choćby wyjątku, ferował jeden, jedyny wyrok: śmierć przez rozstrzelanie. Wyrok wykonywano natychmiast, na oczach trzech kornie stojących pułków”. Dopiero swoisty bunt plutonu egzekucyjnego, który nie wykonał swojej powinności, trzykrotnie strzelając pod nogi skazańca, spowodował zreformowanie wymiaru sprawiedliwości: „dezerterskie sądziła już kolektywnie cała macierzysta bateria, potem pułk. Nieraz zdarzało się, iż pułk orzekał o darowaniu winy uciekinierowi, bo młody i była to jego pierwsza próba”.

W dalszej części cytowanej już „Rezolucji” Biuro Polityczne KC PPR oskarżało tzw. reakcję, iż „usiłuje w swych machinacjach przeprowadzić linię przeciwstawienia Armii władzy politycznej w postaci PKWN, usiłuje wygrywać armię przeciwko PKWN. W organizacji masowych dezercji reakcyjno-terrorystyczne elementy osiągnęły pewne sukcesy, co ujawniło się na terenie 31-go pułku”.

Sprawa dezercji tej jednostki znalazła dosyć szerokie omówienie w literaturze historycznej. Badania nie potwierdziły głoszonej przez kierownictwo PPR tezy o inicjującej roli AK w tym wydarzeniu. Jak napisał ostatnio w „Tygodniku Solidarność” Jerzy Ślaski, „mimo że członków AK oskarżano o zorganizowanie dezercji i wyprowadzenie żołnierzy, to — jak jednoznacznie wykazał przewód sądowy, nie mający zresztą na celu wybieleńcia AK — ani AK, ani jej członkowie nie mieli z tym nic wspólnego”. Faktycznym powodem dezercji były fatalne warunki bytowe żołnierzy oraz pogłoska, iż pułk zostanie przetransportowany na Syberię, a stamtąd na front japoński.

Tymczasem wydarzenie to stało się argumentem dla twórców „Rezolucji”, mającym uzasadnić tezę o istnieniu poważnego niebezpieczeństwa dla władzy, „które wymaga natychmiast energicznego przeciwdziałania”.

Akowska wytwórnia broni w Lublinie

JESIENIĄ 1942 r. majster Józef Zakrzewski został skontaktowany z nieznanym mężczyzną, który przedstawił się jako „Kruk”. Był to mjr inżynier Stanisław Rybiński z Oddziału IV Sztabu Komendy Okręgu AK w Lublinie. Oddział IV Sztabu, na którego czele stał por. Władysław Krzanowski („Bronisław”, „Dębski”), przed wojną oficer w 13 dywizji piechoty, zajmował się sprawami kwatermistrzostwa. Podlegały mu wydziały intendencji i uzbrojenia. Wydział uzbrojenia — oprócz innych zdań — organizował i kierował akcją konspiracyjnej produkcji broni. I właśnie w wydziale uzbrojenia pracował mjr inż. Stanisław Rybiński („Kruk”, „Chmiel”). W 1943 r. „Kruk” miał stanąć na czele tego wydziału.

Wydział uzbrojenia zaangażowany był wówczas mocno w produkcję granatów oraz kółców do przebijania opon samochodowych. Po Lublinie rozrzucone były konspiracyjne warsztaty wytwarzające zapalniki do granatów — „sidolówek” oraz blaszane korpusy do tych granatów. Posiadały one kształt i wymiary metalowego pojemnika na powszechnie używany płyn do czyszczenia metalu — „Sidor”. Pierwsze „sidolówki” stosowane przez podziemie wzięły swą nazwę właśnie od pustych pojemników po „Sidolu”, które wykorzystywano, wypełniając je materiałem wybuchowym. Kiedy produkcja granatów zaczęła się rozkręcać na szeroką skalę, zorientowano się, że można prawić na oczkach Niemców produkować w zakładach blacharskich identyczne pojemniki, twierdząc że wykonuje się je na zamówienie dla wytwórni „Sidoru”.

Z zapalnikami do „sidolówek”, tymi zrzepnymi „sercami granatów”, skomplikowanymi w konstrukcji a łatwymi do rozpoznania przez byle niemieckiego żołnierza; do ich produkcji potrzebni byli doskonali fachowcy. Po drugie: sama praca przy zapalnikach, nie wykluczająca możliwości detonacji spłonki lub wypełniającego zapalnik prochu i poranienia rusznikarza, była bardzo niebezpieczna. Dlatego bardzo trudno było znaleźć ludzi, którzy podjęliby się tego rodzaju roboty.

Inżynier Rybiński, idąc na spotkanie z majstrem Józefem Zakrzewskim, wiedział, że jest to człowiek, który spróbuje produkcji zapalników. Rzemieślnik znający się na modelarstwie i otlewnictwie, dawny podoficer, saper, a przy tym — człowiek odważny. Co więcej, jego warsztat, drewniany budyneczek przy ulicy Kotlarskiej 9 w lubelskiej kolejarzkiej dzielnicy Dzieciątka, nie powinien wybudzić podejrzeń Niemców co do wykonywanej tam pracy. Pozostawało pytanie: czy Zakrzewski, i tak już ryzykujący na co dzień życiem swoim i całej swojej rodzinie (wytwórnia fałszywych doku-

mentów!), zgodzi się na propozycję Rybińskiego?

Józef Zakrzewski, po chwili zastanowienia, wyraził zgodę. Ustalono, że będzie wykonywał tylko pierwszą fazę produkcji zapalnika do „sidolówek”: odlewanie metalowego korpusu. Miał otrzymać z wydziału uzbrojenia odpowiednie narzędzia. Przede wszystkim — „kokil”, czyli formę do odlewania korpusów zapalników, oraz tygiel do topienia metalu. No i sam stop: ołów z dodatkiem kilku innych metali.

„Kokil” — urządzenie pozwalające odlać równocześnie dwa korpusy zapalników (metalowych, pustych wewnątrz walców o długości ok. 10 cm) — został dostarczony wkrótce Zakrzewskiemu i zainstalowany w warsztacie przy ul. Kotlarskiej.

SERCA GRANATÓW

Miroslaw Dorecki

Równocześnie Józef Zakrzewski wykonał skrytkę, do której łatwo było wrzucić całe oprzyrządowanie do produkcji zapalników wraz z zapasem metalowego stopu oraz wykonanymi już korpusami. Skrytka mieściła się pod warsztatową „kozą” — niewielkim żeliwnym piecykiem do ogrzewania wnętrza. Była to już druga skrytka, jaką dysponował. Pierwsza — istniała w domu Zakrzewskiego przy pobliskiej ul. Spacerowej. Przechowywano tam radio, maszynę do pisania oraz pieczątki i inne materiały do produkcji fałszywych kenkart.

Stały kontakt z warsztatem Józefa Zakrzewskiego miał utrzymywać — z ramienia konspiracji — młody człowiek używający pseudonimu „Biały”. Zakrzewscy szybko przechrzczili go na „Kapitana Białego”.

„Biały”, którego Rybiński przedstawił jako swego zastępcę, w istocie nazywał się Tadeusz Jaszowski, miał stopień porucznika AK. Jaszowski był z wykształcenia prawnikiem. Przed wojną skończył podchorążówkę rezerwy artylerii we Włodzimierzu Wołyńskim; w lipcu 1939 r. został powołany do wojska, kampanię zakończył pod Kockiem w grupie operacyjnej generała Kleeberga.

Jaszowski był odpowiedzialny za dostarczanie do warsztatu przy ul. Kotlarskiej materiałów potrzebnych do produkcji, odbiór wyprodukowanych

korpusów oraz czuwaniem nad bezpieczeństwem konspiracyjnej fabryczki i pracujących w niej ludzi. Józef Zakrzewski wziął sobie bowiem do pomocy Franciszka Wituckiego („Klina”), z zawodu ślusarza, członka plutonu „302” Armii Krajowej, oraz swego syna, piętnastoletniego Jurka („Wojciecha”). Jurek miał szlifować odlane w „kokuilu” przez ojca i „Klina” korpusy zapalników. Czynnikiem to zazwyczaj po skończeniu przez nich dziennej partii korpusów i ukryciu oprzyrządowania w skrytkę w stojącej w pobliżu warsztatu szopie.

Produkcja korpusów zapalników rozpoczęła się na przełomie listopada i grudnia 1942 r.

W kilka miesięcy później, inż. Rybiński zapytał majstra Zakrzewskiego, czy nie podjąłby się on także „laborowania” — odlewanych korpusów. Przecież — jest saperem!

kach z falistej tektury. Pudélka kupowano w sklepie przy obecnej ulicy 1 Maja. Sklep ów sprzedawał także „znormalizowane”, określone przez władze okupacyjne pudélka, jako opakowania przesyłek żywnościowych dla więźniów. Stanowiło to dodatkowy kamuflaż.

Po partii gotowych zapalników zgłaszali się łącznicy podający ustalone hasło. Niekiedy odbierał je sam szef uzbrojenia Komendy Okręgu, inż. Rybiński. Przeważnie paczki z zapalnikami szły najpierw do punktu przerzutowego, którym była restauracja znajdująca się przy ul. Bychawskiej 3. Kierowała nią Irena Reburzowa, wstępująca jako „Danuta”. Zdarzały się dni, kiedy większą „produkcję” — do półtora tysiąca sztuk — zabierano z Kotlarskiej w skrzynkach, prosto „do lasu”.

Jeden z pobliskich magazynów broni mieścił się na Dziecisłej, w domu przy ul. Wypsińskiego 5, gdzie działała firma: „Zakład Elektrotechniczny, inż. S. Luberański”. Jej udziałowcem był bezpośredni zwierzchnik Józefa Zakrzewskiego w tym rejonie, Jan Litwiniuk z Wojskowej Służby Ochrony Powstania AK. Zapalniki przechowywano tam wśród materiałów elektrotechnicznych, na strychu domu. Większe ich partie zakopywano na terenie działki przylegającej do zakładu.

Kiedyś o małego co nie doszło do fatalnej wpadki: ktoś wysłał pocztą donos do gestapo, że na Wypsińskiego magazynuje się broni i amunicję. Kartkę, na szczęście, przejęła służba informacyjna Armii Krajowej działająca na lubelskiej poczcie...

Zasadniczo rola Zakrzewskich ograniczała się do produkcji zapalników. Ale zdarzały się sytuacje, kiedy łącznik mający odebrać kolejną partię „towaru” nie zjawiał się, a „odbiorcy” czekali z niecierpliwością. Wtedy, bywało, nawet 12-letnia Halinka wynosiła z domu zapalniki w torbie lub w teczce. Albo pani Teofila pakowała je na dno dziecięcego wózka, do którego kładła następnie kilkumiesięcznego synka Stanisława, i ruszała spacerowym krokiem poprzez uliczki i ulice Dziecisłej w kierunku restauracji przy ul. Bychawskiej 3, na „pogawędkę” z panią Ireną — „Danutą”.

Raz, kiedy zbliżyła się do „Tunelu” (wiadukt, po którym biegły nad ulicą tory kolejowe) i nie mogła sobie dać rady z wtaczaniem obciążonego wielką partią zapalników wózka na kamiennym stopniu, podeszli do niej dwaj Niemcy. Z trudem zdobyła się na uśmiech i bezradne rozłożenie rąk. Niemcy — chwycili wózek i... uprzejmie wnieśli go na szczyt schodków. Potem zaszutowali i poszli swoją drogą.

Zupełnie inny, tragiczny finał miała próba dostarczenia partii zapalników do magazynu broni przy ul. Lipowej, przez jednego z łączników...

(Koniec odcinka 2. — cdn.)

W nawiązaniu do „Armii Czerwonej na Lubelszczyźnie”

P O wybuchu wojny w dniu 1 września 1939 r. wszystko w Chełmie szło niby normalnym trybem, a że była zaczęta wymiana kolumn na szlaku od Chełma do Dorożuska i przebudowa torów stacyjnych, właśnie z peronami, więc spiesznie wykonywano roboty. Ludzi było dużo — miałem na swojej liście, jako torowy, 250 nazwisk — i robota posuwała się szybko.

3 września na szlaku Chełm — Zawadówka został ostrzelany przez lotnictwo niemieckie pociąg osobowy, jadący do Chełma: Pierwszy raz zobaczyłem rannych od kul hitlerowskich. Straszny to był widok, gdyż przeważnie jechała tym pociągiem młodzież — uczniowie i uczennice. Pamiętam, jak z pociągu wysiadali ranni pasażerowie; jedna uczennica, w granatowym mundurku, trzymała wychodząc z rannego brzucha wewnętrzny aparat był przez koleżanki. Po tym wypadku, który wstrząsłał mieszkańcami Chełma i ja zobaczyłem, że żartów nie ma — trudno było uwierzyć, że Polska przestała na jakiś czas istnieć, że przyjdą tu Niemcy [...].

Tory zatłoczone były wagonami, głównie z ludźmi i materiałami, które wiozł na wschód. Chełm jednak ciągle był omijany przez naloty, ale już

1 września dotarła z Kowla wiadomość, że zrzucono tam kilka bomb na stację kolejową.

8 września w Chełmie odbywają się doroczne uroczystości odpustowe w parafii Narodzenia NMP na Górcie. I w tymże dniu lotnictwo niemieckie około godz. 17—19 dokonało bombardowania stacji kolejowej i jej otoczenia. Ziemia drżała i hułała się, a wszyscy w schronie (rów przykryty podkładami kolejowymi i przysypany ziemią) odmawiali modlitwy. W pewnej chwili wpadł odlamek bomby — brałem do ręki, był gorący.

Po odlocie samolotów bombardujących słońce już było nad zachodem. Wagony na torach i niektóre budynki stacyjne palili się. Pożarem objęta była przestraża od fabryki spirytusu Daumana, gdzie płonęła szkoła powszechna im. Królowej Jadwigi, od zachodu po przejazd kowelski od wschodu. Najgorsza masakra była na podjeździe dworca, gdzie bomba wpadła do schronu, i na rampie, gdzie trwał załadunek wojska do wagonów. Mówiono, że w tym dniu zginęło 138 osób.

Zaraz po bombardowaniu zjawili się dwóch młodych księży z parafii na Górcie: ks. Marceji Mrozek i, zdaje się mi, że ks. Zygfryd Berezecki [...]. Mówiono też, że eskadra teściowa-

dził obywatel m. Chełma, Piczma, którego ojciec miał fabryczkę sztucznych kamieni młyńskich na ulicy Kolejowej, a on sam ukończył gimnazjum Czarnieckiego i był lotnikiem.

I tak zaczęły się dni ciężkie i niebezpieczne. Już od 8 września ciągle latały samoloty i bombardowały stacje. Byłem kolejarzem, zostałem na

Jan Michalczyk

miejscu i po każdym nalocie naprawiałem niszczone tory. 12 września, w trakcie jednego z takich nalotów, spadły się warsztaty i magazyny oraz drewniany dom kolejowy, w którym mieszkaliśmy z rodziną [...]. We wsi Strachostów, u moich rodziców, przebywała już moja żona, dzieci i teściowa.

Ostatnie bombardowanie Chełma przez lotnictwo niemieckie miało miejsce 18 września. Na stacji zniszczono wówczas duży murowany dom mieszkalny za torami przy tartaku i magazynu amunicji na placu K.P.W. Magazyny również i ostrzelano żoł-

nierzy idących szosą w kierunku Hrubieszowa. Mówiono, że było 36 samolotów i dużo żołnierzy zostało zabitych [...]. W tym dniu doszła do mnie wiadomość o przekroczeniu naszej granicy na wschodzie przez wojska sowieckie 17 września [...].

Niemcy podeszli pod Chełm od strony Włodawy, pałac przy tym kilka domów we wsi Serebryszcze i Koziej Gotówce. Podjechali na tankietkach, ostrzelali pociąg jadący do Kowla

WRZESIEŃ

(przedzłurawili kocioł w parowozie i pociąg zatrzymał się). Z wagonów wyskoczyły cywile i żołnierze. Tych ostatnich poderwał do walki jakiś podoficer, zarządził strzelanie w kierunku Niemców, a nawet dał rozkaz: „na bagnety”. Grupa żołnierzy, krzycząc „urrra” i strzelając, pobiegła w kierunku Niemców, ci zaś, zostawiwszy jednego zabitego, uciekli w kierunku Włodawy. Byłem w tym czasie na swoim pogorzelisku, w obrębie przejazdu kolejowego kowelskiego, widziałem to wszystko i słyszałem. [...].

Po tej potyczce Niemcy wycofali się i weszli dopiero na początku październi-

ZWROT PAŹDZIERNIKOWY 1944

Dokończenie ze str. 11

WDALSZEJ części dokumentu wskazywał ognia armii, które, w opinii komunistów, opanowane zostały przez elementy akowskie i gdzie nie zabezpieczono odpowiedniej obsady i pozycji dla członków PPR. Stanowiły je: Sztab Główny, Sztab Mobilizacji i Formowania, Rejonowe Komendy Uzupelnienia, Szefostwo Zaopatrzenia, Szkoły Wojskowe.

Pierwsza część omawianej „Rezolucji” kończyła się następującą konkluzją: „W tym stanie rzeczy staje się rzeczą niezmierniej wagi ujawnienie i sprycyzowanie przyczyn, które doprowadziły do obecnej niebezpiecznej sytuacji w wojsku, i przedsięwzięcie całego szeregu stanowczych i radykalnych środków zaradczych”.

Za główne przyczyny kryzysowej dla komunistów sytuacji kierownictwo PPR uznało:

1. **Błędna koncepcja formowania korpusu oficerskiego**, której kierownictwo partyjne nie zdołało zawczasu skorygować. [...] Dowództwo Naczelne dopuszczało do stanowisk starych oficerów polskich, z których większość, jak się okazało, była, a często jest, związana z reakcyjnymi organizacjami. Za błąd uznano „mechaniczne przenoszenie doświadczeń osiągniętych przy asymilacji wrogich elementów w Armii Polskiej w ZSRR bez uwzględnienia zasadniczej odmienności warunków, polegających przede wszystkim na braku w ZSRR rozbudowanych i aktywnie działających wrogich organizacji.

2. **Całkowicie niedostateczne uwzględnienie przy budowie korpusu oficerskiego politycznych i liniowych elementów partyjnych, AL-owskich, partyzanckich i w ogóle szczerze demokratycznych.** [...]

3. **Rozluźnienie dyscypliny, pijaństwo, nadużycia itp.**, jak też przejawy moralnego rozkładu wśród części korpusu oficerskiego. Ułatwiło to reakcyjnemu agenturam rozkładową działalność w wojsku.

4. **Niedostateczna ze strony Naczelnego Dowództwa ocena roli aparatu politycznego**, traktowanie Głównego Zarządu Polityczno-Wychowawczego Wojska Polskiego równorzędnie do wielu innych Wydziałów Sztabu i niestworzenie mu warunków dla spełnienia kierowniczej roli politycznej [...]

5. **Braki i błędy pracy politycznej w wojsku**, niedocenianie przez niektóre ogniwa aparatu politycznego niebezpieczeństwa wrogiej roboty AK, co znalazło swój wyraz w obsadzeniu stanowisk politycznych niepewnym elementem akowskim, w pobłażliwym stosunku do AK w ogóle, a szczególnie do jej przeszłej działalności [...]

6. **Niedolność aparatu informacyjnego w obecnej jego strukturze** do

orientowania się w skomplikowanych warunkach polskich i paralizowania posunięć reakcji.

7. **Niedostateczne wykorzystanie** przy tworzeniu 2-giej i 3-ej armii doświadczonych w pracy w Wojsku Polskim kadrów liniowych i politycznych z I Armii” [podkreślenia — J. W.]

Ponadto wskazano na inne, kolejne przyczyny, które, zdaniem Biura Politycznego, zagroziły utratą dominacji partii nad wojskiem. Były nimi: opóźnienie procesu awansowania zaufanych podoficerów na stanowiska oficerskie, niedostateczna kontrola polityczna akcji mobilizacyjnej, brak zespołowej pracy w Dowództwie WP, oparcie dyslokacji wojska na zasadzie terytorialnej, co ułatwiała dezercję, oraz braki w umundurowaniu, wyżywieniu, transporcie i zakwaterowaniu żołnierzy.

Za swoiste remedium, które miało zmienić sytuację, kierownictwo PPR uznało stworzenie w ramach KC wspomnianego już Wydziału Wojskowego. Jego zadania określono aż w 11 punktach, z których trzy pierwsze miały najbardziej istotne znaczenie.

Za zasadnicze zadanie wydziału uznano stworzenie warunków, by mógł on kierować „wszystkimi sprawami związanymi z wojskiem, a w pierwszym rzędzie z organizacją Armii, polityką personalną, pracą polityczną i informacją”.

Drugim co do ważności zadaniem było: „wzmocnić element partyjny w Dowództwie Naczelnym przez powrót do wprowadzenia do Dowództwa tow. Marka [Mariana Spychalskiego — J. W.] z powierzeniem mu zastępstwa dowódcy do spraw personalnych i informacyjnych oraz przez stosowanie zasady zespołowej pracy w Dowództwie Naczelnym”.

Trzeci cel jaki miał zrealizować Wydział Wojskowy przy KC PPR, określił następująco: „przeprowadzić gruntowną czystkę w wojsku z elementów reakcyjnych, w pierwszym rzędzie w Sztapie Formowania, Sztapie Głównym, Sztapie Zaopatrzenia, RKU, Szkołach Wojskowych, i obsadzić decydujące placówki pewnymi ludźmi: nie stosując ryczałtowo negatywnego stosunku do wszystkich dawnych oficerów polskich, wzmocnić w stosunku do nich. Internować wszystkich oficerów AK i NSZ, oddziaływających szkodliwie na stan polityczny i zdolność bojową Wojska”.

To zalecenie korespondowało z innymi ustaleniami, jakie podjęto 31 października. Dotyczyły one akowców. Jak czytamy w protokole Biura Politycznego: „tow. Radkiewicz zaproponował utworzenie specjalnych batalionów zapasowych z aresztowanych przez władze sowieckie akowców. W dyskusji nad tą sprawą zdecydowano, że bardziej celowym będzie utwo-

wienie specjalnych obozów pracy dla różnego rodzaju przestępców i włączenie do nich również tego elementu akowskiego, na który nie ma dostatecznych dowodów do sądenia go na podstawie dekretu o ochronie państwa”.

Ponadto Wydział Wojskowy, zgodnie z przyjętą „Rezolucją” miał zadbać o tworzenie korpusu oficerów „z młodych Polaków, szczerych demokratów”, wzmocnić element robotniczy w wojsku, zreorganizować Wydział Informacji Wojskowej, „rozszerzając zakres jego pracy do ogólnopolitycznego wywiadu”, rozbudować Szkoły Oficerów Politycznych, oraz „prowadzić systematyczną pracę polityczną wśród oficerów Armii Czerwonej, ułatwiając im orientację w warunkach polskich”. Zarazem wydział miał zadbać, by wzmocnić represje wobec uchylających się od służby wojskowej i wprowadzić ustawową odpowiedzialność dezerterską, ich rodzin i osób ukrywających, połączoną z konfiskatą ich mienia.

Tekst przyjętej „Rezolucji w sprawie sytuacji i pracy w wojsku” Biuro Polityczne KC PPR postanowiło „przekazać do zaopiniowania tow. Stalina za pośrednictwem gen. Bułganina”.

WTEN sposób dokonał się istotny zwrot w postawie nowej władzy wobec tych żołnierzy AK, którzy kierując się różnymi przesłankami, zareagowali na wielokrotne apele, by znaleźć się w szeregach ludowej armii i brać czynny udział w dziele wyzwolenia Polski spod hitlerowskiej okupacji. Dalszą tego konsekwencją będzie zmasowany atak propagandowy i pojawienie się obelżywych, zniesławiających AK plakatów i broszur. Główna siła militarna Polskiego Państwa Podziemnego stawała się w komunistycznej propagandzie synonimem reakcji, zdrady i uosobieniem wroga porównywalnego z Hitlerem.

Dekretując przeprowadzenie czystki w Wojsku Polskim, przywódcy partii komunistycznej mieli świadomość, iż oznacza to rozwój represji i terroru, ogarniających całe społeczeństwo. Ale poczynał się, towarzysząc im dążenie do zniszczenia istniejącej tkanki społecznej. Było to warunkiem sine qua non utrzymania władzy przez PPR. Od początku w koncepcjach komunistów nie było też miejsca dla armii integrującej cały naród, będącej uosobieniem jego suwerenności.

Wojsko, podobnie jak milicja i urzędy bezpieczeństwa, miało być przede wszystkim narzędziem panowania klasowego — chłopów i robotników, jak to później oficjalnie głoszone. W rzeczywistości wprężono je w służbę ideologii komunistycznej i systemu totalitarnego, tworzonego przez zdecy-

dowaną mniejszość, wbrew woli narodu, lecz zgodnie z dyrektywami J. Stalina, który w tym właśnie celu powierzył w lipcu 1944 r. władzę w Polsce komunistom.

Decyzje, które zapadły w ostatnim dniu października 1944 r., zaczęto szybko wcielać w życie. Akcją kierowali funkcjonariusze NKWD oraz Informacji Wojskowej. Zapełnili oni internowanymi żołnierzami polskimi obozy w Skrobowie, w pobliżu Lubartowa.

O powstaniu i funkcjonowaniu tego obozu interesująco pisał wspomniany Jerzy Ślaski, który był jedną z ofiar popaździernikowych czystek przeprowadzonych w wojsku.

Większość internowanych żołnierzy przybyła do Skrobowy w dniach od 5 do 8 listopada. Dominowali wśród oficerów zaprzysiężeni żołnierze Armii Krajowej, zaangażowani w jej działalność. Podchorążowie, podoficerowie i szeregowi stanowili mniejszość. Internowano również wielu oficerów rezerwy. Byli wśród nich nauczyciele, urzędnicy, lekarze.

„Zdecydowaną większość internowanych — pisze J. Ślaski — stanowili jednak żołnierze 2 Armii, zabrani pod różnymi pretekstami — z formowanych jednostek liniowych bądź ze szkół oficerskich. Łącznie było tam nas ponad 500, w tym ponad 400 oficerów. [...] W sumie jednak wygląda na to, że cały nabór do Skrobowy realizowany był bez właściwego rozeznania, w sposób biurokratyczny. Aby tylko ilość się zgadzała. Panująca wśród internowanych opinia, że każdej jednostce wyznaczono kontyngent służących w niej AK-owców, których ma ona oddać informacji, wydaje się bliska prawdzie. [...] Początkowo byliśmy całkowicie odcięci od świata. Nie wiedzieliśmy, co się dzieje na zewnątrz obozu. [...] I odwrotnie. O nas też nikt nic nie wiedział, ani rodziny, ani towarzysze broni z AK, ani koledzy z jednostek WP, z których nas zabrano. [...] Wiedzianno o nas jedno: więźni ich i zniknęli. [...] Nie trzeba dodawać — zauważa J. Ślaski — że musiało to również podzielać jak kubił zimnej wody na żołnierzy AK, znajdujących się na terenach jeszcze zajętych przez Niemców i oczekujących dnia, gdy przyjdzie do nich Wojsko Polskie, a oni dołączą do jego szeregów. Gdy ruszyła ofensywa styczniowa, koniec wojny był już w zasięgu wzroku, ale przecież ludowe wojsko dopiero wtedy szło ku swym największym i najkrwawszym bitwom. Dopływ tysięcy wyszkolonych żołnierzy AK, mających za sobą staż dywersyjny bądź partyzancki, z pewnością wzmocniły jego bojowy potencjał. Lecz już wtedy to wojsko ich nie potrzebowało. Kształt powojennej Polski i losy AK-owców były przesądzone” („Tygodnik Solidarność” nr 13, 14, 15 z 1989).

(Koniec odcinka 6. — dokończenie nastąpi)

Janusz Wrona

nika. Przedtem weszły czołgi i wojska sowieckie. Było to około 19–20 września. Wojska sowieckie wjechały czołgami do Chelma od strony Góry Kredowej (Serebryskiej). Ja spotkałem czołgi sowieckie, stojące na szosie wojsławickiej z lufami skierowanymi w stronę Chelma, kiedy szedłem do Strachosławia z Antonim Pejem (strażnikiem Ochrony Kolei). Sowietci zatrzymali nas, wylegitymowali, mego znajomego zrewidowali, gdyż był w mun-

Spotkałem jeszcze czołgistów dnia następnego, będąc w aptece na rogu ulic Pocztowej i Lwowskiej. Pamiętam, że żołnierz, wysiadłszy z czołgu, wszedł do apteki i zażądał wody kolońskiej — „Odiekołou u was jest?”. Aptekarka podała mu buteleczkę, ale bez opakowania, więc ów żołnierz powiedział — „A bumagi u was niet!”. Odpowiedziała, że wojna i nie ma papieru. „No niczewo” — powiedział i wyszedł.

W ciągu swego pobytu Sowietci wy-

Pamiętam też moment taki: grupa polskich oficerów w ilości około 150 osób, pilnowana przez Żydów chełmskich zaopatrzonych w opaski i karabiny, na podjeździe stacji Chelm — jednego z tych Żydów znałem, bo był kulały i zawsze kupował od chłopów kury i jajka na ulicy Hrubieszowskiej — i ten Żyd w czasie marszu oficerów tak powiedział — „Ty, polska oficer, zmień nogą, jak idziesz!“. Myślałem, że nie wytrzymam takiej obelgi w stosunku do polskiego żołnierza — oficera, ale przeżyłem [...].

Wszystko wywożono z Chelma w kierunku na Rejowiec, Zawadę i Włodzimierz, bo w Dorohusku był zerwany most kolejowy na Bugu z polecenia komendanta stacji Chelm po 17 września, aby utrudnić wjazd wojsk sowieckich w głąb Polski.

Żołnierze polscy, po zakończeniu jak gdyby działań wojennych, szli piechotą ze wschodu na zachód i widząc pociągi odjeżdżające z Chelma na zachód, w kierunku Rejowca, wsiadali do wagonów, aby przyspieszyć swój powrót. Ale pociągi te przez Rejowiec nie szły dalej do Lublina, lecz skręcały do Zawady i potem jechały za Bug do Włodzimierza. Często mówiło się tym żołnierzom, że pojadą nie tam, gdzie chcieliby, ale nie zawsze wierzyli. Kiedyś jakiś Żyd doniósł sowieckiemu komendantowi, że kolejarze uprzedzają polskich żołnierzy przed nie-

zamierzonym powrotem za Bug. Zawiadawca stacji p. Miłkowski ledwie zdołał obronić jednego zwrotniczego przed skutkami tego donosu.

Przed wkroczeniem Niemców trwały narady w tzw. Głównym Gmachu między oficerami sowieckimi i niemieckimi. „Bezkrólewie” trwały około tygodnia. Około 27 września Sowietci opuścili Chelm, a po kilku dniach weszli już bez boju Niemcy i zaczęła się prawdziwa okupacja.

Jan Michalczyk, ur. 12 sierpnia 1907 r. w Strachosławiu, zmarł 18 maja 1947 r. w Lublinie. Po ukończeniu Szkoły Mechanicznej w Chelmie, w latach 1926–1938 pracował na kolei w służbie drogowej, zajmując kolejne stanowiska: trowego, zawiadowcy i kontrolera w Zakrucinie, Turzysku, Kowlu, Chelmie, Rejowcu i znów w Chelmie. Spisywanie wspomnień rozpoczął w roku 1971. W następnych latach prowadził dziennik — wracając do wydarzeń sprzed lat. Pozostawił kilka zeszytów, dużej i małego formatu, gęsto zapisanych, upamiętniających fakty z wydarzeń publicystycznych, rodzinnych i osobistych. Przez całe życie był kolejarzem i z perspektywy torów, stacji i pociągów, patrzył na losy kraju, dla którego wernie i ciężko pracował. Wybrany tu tekst ukazuje początek wojny na chełmskiej stacji kolejowej. Inne stanowią dokumentalny przyczynek do zagłady Żydów, zwolonych z kraju i różnych stron Europy — przez Rejowiec i Chelm — do Sobiboru. Osobny zeszyt poświęcił na opisanie historii wsi Strachosław pod Chelmem. Wszystkie te materiały przechowuje jego syn, Stanisław Michalczyk.

W CHELMIE

durze kolejowym i pozwolili iść dalej.

Później dowiedziałem się, że tegoż dnia, przed paroma godzinami, została stoczona walka z uzbrojonymi pocztowcami polskimi, którzy będąc w mundurach, spotkali czołgi sowieckie i otworzyli do nich ogień. W potyczce zginęło kilku Polaków i kilku Rosjan. Potyczka miała miejsce na początku Borku, patrząc od strony Hrubieszowa. Polacy zostali pochowani na miejscu walki, Sowietci zaś na placu Łuczowskiemu centrum Chelma (było około 7 zabitych).

wieźli wszystko, co było na składach czy w magazynach. Ładowali na wagony cokolwiek było z rzeczy państwowych, a więc szyny, rozjazdy (ok. 40 sztuk), ściany sitowe palenisk parowozowych (miedziane) — około 5000 m² zastawionego placu przy torach 11, 17 i 19, bandaże kół parowozowych — złożone na placu o powierzchni około 8000 m². Zabrano również liczne parowozy wyposażone, stojące na torach, i bardzo dużo wagonów załadowanych niewiadomym mi materiałem i rzeczami uciekinierów. Gromadzono również idące w rozsypane wojsko polskie i wywożono na wschód.

Dokończenie ze str. 3

SOLIDARNOŚĆ '89

— widocznego i w Polsce i na Zachodzie, potrzeba ruchu jako innej formacji może okazać się naszą siłą, a nie słabością. Nie wolno jej hamować, odmawiając m.in. nazwy „Solidarność”. Po 4 czerwca chyba nie do końca przemyślaną decyzją zmarnowano wiele rodzącej się energii społecznej. Nie potrafiłszy utrwalic poczucia wspólnego sukcesu i wytworzyć takiego mechanizmu, który byłby jego siłą napędową”.

Nie wszyscy związkowcy zgadzali się z prof. Gremkiem, popierając decyzję KKW o zarezerwowaniu nazwy „Solidarność” wyłącznie dla związku. Jeśli taka jest wola „góry” — kontrargumentowali przeciwnicy tego poglądu — to dlaczego zezwolono na dodanie do nowo powstającego PSL tej nazwy? Przecież ludzie przychodzą nie do komitetów obywatelskich, a do „Solidarności”. Jeżeli nie będą one firmowane tym znakiem, to stracą zaufanie społeczne, a chyba nikomu na tym nie zależy. Decyzja o rozwiązaniu KO, stwierdził wprost jeden z uczestników seminarium, była spowodowana partykularnymi interesami osób skupionych wokół Lecha Wałęsy.

Z ankiety przeprowadzonej w trakcie obrad wynika, że większość delegatów widzi siebie jednocześnie jako związkowców i działaczy społeczno-politycznych, łącząc na co dzień funkcje przewodniczącego KZ i KO.

Nikt w trakcie seminarium nie wspominał o uregulowaniu systemu płacowego w Polsce. Jedynie w przerwach między obradami toczyły się dyskusje na ten temat. Mówiono o braku sensownych relacji między płacą a pracą. O absurdalnych warunkach, w których robotnik, wykonujący prostą fizyczną pracę, zarabia znacznie więcej od dobrego inżyniera. Ta sytuacja m.in. wytwarza niechęć wykwalifikowanej kadry technicznej do wstępowania do związku. „Kult łopaty”, preferowany przez 40 lat komunistycznych rządów, musi upaść. Inaczej najlepsi fachowcy wyjadą za granicę, bądź wezmą kurs „na przetrwanie”. I jedno, i drugie rozwiązanie będzie początkiem końca jakichkolwiek zmian w polskiej gospodarce. „Przeświadamy się wreszcie zachwycać Łajką — podsumował kulturalową dyskusję M. Łazarz (FET Kraśnik) — a zaczynamy interesować się konstruktorem rakiety, w której ona poleciała w kosmos”.

Na seminarium nie przybył, oczekiwany przez wszystkich, minister Kuroń, który miał mówić o związku zawodowym jako sile politycznej. Nie zawiódł jednak Adam Michnik. Przyjechał wprawdzie tylko na dwie godziny, bo, jak tłumaczył się przed

związkowcami, jeszcze tego samego dnia posłowie mieli przegłosować wybór nowego ambasadora w Moskwie, ale jego wykład — „Doświadczenia Solidarności na tle innych krajów Europy Środkowoschodniej” — zgromadził na sali obrad komplet związkowców.

„Nasza sytuacja międzynarodowa — mówił A. Michnik — wygląda dziś zupełnie inaczej niż na początku lat 80. Wtedy zastanawialiśmy się: wejść czy nie wejść. Obecne zmiany w Polsce należy oglądać przez pryzmat procesów zachodzących w krajach ościenych. Czynnikiem, który niewątpliwie umiędzynarodowił reformy systemu komunistycznego, stała się radziecka pierestrojka”.

Adam Michnik nazwał ją „rewolucją kaloryferów”. Po prostu z dnia na dzień przedmioty zaczęły odmawiać posłuszeństwa. Nie przejmując się przewodnią rolą partii, ani siłą perswazji służb porządkowych, kaloryfery przestały grzać, tramwaje jeździć, a drzwi zamykać się. Niesprawność technologiczna systemu zaczęła zagrażać państwu. Czarnobyl był tego najlepszym przykładem. Tak, zaczęła się pierestrojka od góry, ale obecnie proces ten ma już własną, niezależną od nikogo dynamikę. Wydarzenia w Związku Radzieckim były sygnałem dla innych krajów Europy Wschodniej do rozpoczęcia odchodzenia od komunizmu (Węgry). Jednak tego, co dzieje się obecnie w NRD, nikt nie mógł przewidzieć. I nikt już dzisiaj nie jest w stanie prognozować, czy zachodzące tam zmiany nie przekreślą postanowień Jałty.

„Ten system będzie umierał, bo jest przeciw życiu — podsumował A. Michnik — ale też trzeba mu po chrześcijańsku pomóc umrzeć. Nie można jednak komunistycznej nomenklatury straszyć gilotyną, bo będzie się jeszcze długo bronić (a ma czym). Dla Polski jedyną drogą na przyszłość jest droga bez wojny. Potrzebna jest taka reforma, w wyniku której wszystkie siły społeczno-polityczne będą mogły się zaadaptować”.

Okragły Stół zalegalizował ponownie „Solidarność”. Jej przyszły model muszą jednak stworzyć sami związkowcy. Czy 7-dniowe seminarium w Łęcznej było krokiem naprzód, skoro nawet nie potrafiono dać jednoznacznej odpowiedzi na pytanie postawione w jego temacie, a końcowy komunikat, poza streszczeniem poruszanych w obradach spraw, nie zawierał żadnych konkretnych wniosków?

Zbigniew Dzieciołek

„RELACJE” W PRENUMERACIE

Zainteresowanych możliwością zaprenumerowania naszego tygodnika informujemy, że prenumerata „Relacji” na pierwszy kwartał 1990 roku przyjmowana jest do 20 listopada br.

1) W miastach, w których istnieją Oddziały RSW, można zamówić prenumeratę w tych Oddziałach, w klubach MPiK oraz w wytypowanych kioskach (w których kioskach — można dowiedzieć się w odpowiednim Oddziale). Informujemy, że w makroregionie oddziały RSW znajdują się w następujących miastach: Biała Podlaska, Biłgoraj, Chełm, Hrubieszów, Krasnystaw, Kraśnik, Lubartów, Lublin, Puławy, Radzyń, Tomaszów, Włodawa, Zamość. Czytelników spoza makroregionu prosimy o ustalenie siedzib odpowiednich Oddziałów we własnym zakresie, a wszystkich naszych Czytelników informujemy, że ta forma prenumeraty nie łączy się z żadnymi dodatkowymi opłatami.

2) W Świdniku prenumeratę na warunkach podanych w punkcie 1 przyjmuje urząd pocztowy.

3) Utrzymana będzie bardzo korzystna prenumerata instytucjonalna, czyli zamawiana i dostarczana do zakładów pracy, z której mogą korzystać również prenumeratcy indywidualni zatrudnieni w tych zakładach. Za tę usługę nie będą pobierane dodatkowe opłaty.

4) Z możliwości zaprenumerowania tygodnika z dostawą do domów będą mogli skorzystać tylko mieszkańcy wsi, osiedli oraz miasteczek, w których nie ma Oddziałów RSW, oraz osoby niepełnosprawne bez względu na miejsce zamieszkania. Usługa ta łączy się z poniesieniem dodatkowych opłat, a informacji w tej sprawie udzielają urzędy pocztowe przyjmujące prenumeratę oraz doręczyciele.

5) Zamówienia na prenumeratę w roku 1990 przyjmowane będą tylko na jeden kwartał. Stosowne komunikaty

będziemy publikować w odpowiednim czasie.

6) Cenę prenumeraty kwartalnej tygodnika „Relacje” podano w „Informatorze o cenach prasy polskiej w prenumeracie”, który jest do wglądu dla Czytelników w urzędach pocztowych i u doręczycieli.

7) Koszt prenumeraty na pierwszy kwartał 1990 roku ustalony został dla tygodnika Wschodniego „Relacje” w wysokości 2210 złotych, a więc za jeden numer prenumerujący płaci 170 złotych, czyli mniej niż w sprzedaży kioskowej.

8) Poczynając od 1 stycznia 1990 roku, cena prenumeraty zagranicznej równa się: cenie prenumeraty krajowej powiększonej o 100 proc. Wpłaty przyjmowane będą tylko na okresy kwartalne.

Wpłaty na prenumeratę zagraniczną przyjmuje Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw na numer konta NBK XIII Oddział Warszawa 37-0044-1195-139-11, ul. Towarowa 28, 00-950 Warszawa.

Redakcja

INFORMATOR FIRMOWY „RELACJI”

PRZEDSIĘBIORSTWO PRODUKCYJNO-USŁUGOWO-HANDLOWE

„NAFTOBUDIN” Spółka j.g.u.

Kraków, ul. Powstańców 66

zatrudni natychmiast pracowników na stanowiska

- * cieśli budowlanych
- * murarzy — tynkarzy
- * montażystów budowlanych
- * fliziarzy
- * spawaczy z uprawnieniami ponadpodstawowymi.

Przedsiębiorstwo zapewnia wysokie wynagrodzenie oraz istnieje możliwość wyjazdu na budowę eksportową.

Pracownikom spoza Krakowa zapewnia się bezpłatne zakwaterowanie w kwaterach prywatnych.

Bliższe informacje można uzyskać pod numerem telefonu Kraków 47-04-65 lub osobiście pod adresem Kraków, ul. Powstańców 66 (dojazd autobusem z Dworca Wschodniego nr linii 250).

9276/K

OGŁOSZENIA DROBNE

Biuro pośrednictwa, zamiany mieszkań, kupno — sprzedaż, wynajmu. Lublin tel. 71-86-12.

26552/G-4

Kożuchy, odzież skórzana — renowacja. Lublin, Miła 10.

23350/G-10

Zdecydowanie poszukuję mieszkania. Płatne za rok. Tel. 55-95-96.

26388/G

KUPNO

Stylowe: sekretarzyk, biurko, serwantkę, zegar stojący tel. 71-50-60.

24954/G

INFORMATOR KULTURALNY

TEATR

W LUBLINIE

Teatr im. J. Osterwy: 16—18.11. godz. 11, 18: „Gałązka rozmarynu” Zygmunta Nowakowskiego; reż. Roman Kordziński.

Teatr Studyjny: 20—22.11. godz. 19.30 (sala Lubelskiego Domu Kultury, ul. Pstrowskiego 12): „Dekameron” G. Boccaccia; reż. Miro Prochazka, scen. Vladimir Cap, chor. Frank Town. Informacje o biletach tel. 71-19-72, 55-37-63.

Jesień Teatralna — Wieczór I:

Teatr Sceny Plastikowej KUL — 19.11. godz. 19, 21 (Stara Aula KUL, al. Racławickie 14): „Wrota”. Scen., reż. i scenografia Leszek Mądzik; muzyka Przemysław Gintrowski. Informacje o biletach jw.

Teatr Lalki i Aktora: 16.11. godz. 9, 11; 17.11. godz. 10, 12; 18—19.11. godz. 12; 21—22.11. godz. 10: „Ural Batyr”, baśń baszkirska, reż. Włodzimierz Fełenczak.

Teatr Muzyczny: 16.11, 18—19.11. godz. 19 (Dom Kultury Kolejarka ul. Kunickiego 35): „Paganini” Ferencza Lehara.

MUZYKA

W LUBLINIE

Filharmonia: 17.11. godz. 19; 18.11. godz. 18 — koncert symfoniczny Orkiestry Państwowej Filharmonii Lubelskiej pod dyrekcją Adama Natanaka. Solista — Lewon Ambarcunian (skrzypce). W programie: Koncert skrzypcowy a-moll A. Vivaldiego, Koncert skrzypcowy F-dur J. S. Bacha, Koncert skrzypcowy D-dur L. van Beethovena.

WYSTAWY

W LUBLINIE

Muzeum im. J. Czechowicza — wystawa linorytu barwnego Zygmunta Czyżyka.

Muzeum na Zamku — wystawa poświęcona 50 rocznicy Września pt. „Broń i barwa Wojska Polskiego w roku 1939”.

Galeria BWA (ul. Narutowicza 4): 16.11. godz. 18 — otwarcie wystawy grafiki Zofii Kopel-Szulc i Henryka Szulca.

Galeria Grodzka (ul. Grodzka 5a): 21.11. godz. 18 — Performance pt. „Gwieździasty sztandar” oraz otwarcie wystawy malarstwa i instalacji Krzysztofa Rumowskiego.

Galeria STL (ul. Grodzka 16) — wystawa malarstwa i grafiki: Piotra Hendigerego, Piotra Olszewskiego, Wandy Stokwisz, Jacka Wojciechowskiego, Walentego Wróblewskiego, Tomasza Zawadzkiego.

Galeria TPSP (ul. Grodzka 32/34) — wystawa prac artystów węgierskich. Wydział Pedagogiki i Psychologii UMCS (ul. Narutowicza 12) — wystawa pt. „Elementarze świata i Sztuka Dziecka”.

Archiwum Państwowe (ul. Trybunalska 13) — wystawa pt. „Lubelski Wrzesień 1939 r. — Społeczeństwo, Wojna, Okupanci”.

Biblioteka Uniwersytecka KUL (ul. Chopina 27, IV p.): 16.11. godz. 12 — otwarcie wystawy grafiki książkowej Zofii Kopel-Szulc i Henryka Szulca.

Filharmonia (foyer) — wystawa malarstwa Jana Ziemskiego (ze zbiorów BWA w Lublinie).

W KAZIMIERZU DOLNYM

Galeria (ul. Tyszkiewicza 30): 17.11. godz. 17 — otwarcie wystawy malarstwa Macieja Falkiewicza.

W NAŁĘCZOWIE

Muzeum Ruchu Robotniczego (ul. Chmielewskiego 4) — wystawa z okazji 40-lecia Spółdzielczości Inwalidów.

W BIAŁEJ PODLASKIEJ

Salon Wystawienniczy Muzeum Okręgowego — wystawa medalierstwa Zofii Demkowskiej i jej uczniów.

Lubelskie Studio Teatralne zaprasza: 17—19.11 — III Festiwal Studiów Nauczycielskich Polski Południowo -Wschodniej w Szebrzeszynie. 17—18.11 — IV Biesiada Piosenki, Poezji i Muzyki. W programie: recital Magdy Umer, koncert Zespołu Reprezentacyjnego z Warszawy, recital Tadeusza Kroka, Stanisława Kławe, duetu Ciborski — Mikołajczak. Bliższych informacji udziela Alma-Art tel. 292-31. 20—22.11. godz. 18 (Dom Kultury Kolejarka ul. Kunickiego 35) — recital Ewy Demarczyk. Bilety do nabycia w LDK ul. Pstrowskiego 12 w godz. 10—18.

Czwartek16 listopada
PROGRAM I

8.35 Domator
8.50 Domowe przedszkole
9.15 Dt — wiadomości
9.25 „Głina z wyższych sfer” (7) — „Wyścig z czasem”
10.15 Domator
16.20 Program dnia i Telegazeta
16.25 Dla młodych widzów: Kwant oraz film z serii „Świat, w którym żyjemy”
17.15 Teleexpress
17.30 „Księża kapelani w służbie ojczyzny” — wojskowy film dok.
18.00 Być reporterem: Aleksander Jasiński
18.25 Magazyn katolicki
18.45 10 minut
19.00 Dobranoc: Przygody rozbójnika Rumcajsa
19.10 Teraz — tygodnik gospodarczy
19.30 Dt
20.00 Nowy ład gospodarczy, czyli jak wykorzystać szansę
20.15 „Głina z wyższych sfer” (7) — „Wyścig z czasem” — serial krym. prod. ang.
21.10 Sport
21.20 Pegaz
22.00 Program public.
22.35 XVI Międzynarodowe Spotkania Wokalistów Jazzowych — Zamość'89 (Lincoln Beauchamp)
23.05 Dt — echa dnia

PROGRAM II

17.25 Program dnia
17.30 Psychozabawy
18.00 Program lokalny
18.30 Koncert z okazji 70-lecia Polskiego Komitetu Olimpijskiego
19.30 Zielone kino: „Trzciniowisko” — film przyr. Joanny Wierzbickiej
20.00 Wielki sport
21.00 Ekspres reporterów
21.30 Panorama dnia
21.45 Studio Teatralne „Dwójki”: Franz Kafka „Zamek”
23.50 Komentarz dnia

Piątek17 listopada
PROGRAM I

8.35 Domator
8.50 Domowe przedszkole
9.15 Dt — wiadomości
9.25 „Hania” — film TVP
10.50 Domator
16.20 Program dnia i Telegazeta
16.25 Dla młodych widzów: Rambit
16.50 Dla dzieci: Okienko Pankracego
17.15 Teleexpress
17.30 Raport
17.55 „Piętno” — film dok. o Kazimierze Iłakowiczównie
18.25 Od A do Z
18.45 Weekend w „Jedynce”
19.00 Dobranoc: Kret i zegar
19.10 Monitor rządowy
19.30 Dt
20.00 Nowy ład gospodarczy, czyli jak wykorzystać szansę
20.15 Akademia filmowa: „Sprawiedliwości stało się zadość” — film fab. prod. franc.
22.00 Sport
22.10 Kontrapunkt
22.40 Lex — Obywatel wobec sądu
23.25 Dt — echa dnia

PROGRAM II

17.25 Program dnia
17.30 Wzrockowa lista przebojów Marka Niedźwieckiego
18.00 Program lokalny
18.30 „Henryk Jaskuła-Hen” — reportaż
18.50 Za chwilę dalszy ciąg programu
19.30 Dookoła świata: W Hamburgu
20.00 42.195 metrów — reportaż z XI Maratonu Pokoju
20.15 Studio sport: Wielki tenis
21.30 Panorama dnia

21.50 Kino Antypodów: „Przyjęcie u Dona” — film prod. australijskiej
23.15 Komentarz dnia
23.20 Studio sport: Wielki tenis

Sobota18 listopada
PROGRAM I

8.00 Tydzień na działce
8.20 Na zdrowie — program rekreacyjny
8.55 Program dnia
9.00 Drops — magazyn dla dzieci i młodzieży, a w nim „Jelonek” (2) — serial prod. jugosl.
10.40 „Wyprawa pod podszewkę Alp” — odc. pt. „Polskie Alpy”
12.15 Powitanie
11.10 Bellona — wojskowy magazyn public.
11.40 Laboratorium: Lekkość
12.10 Telewizyjny koncert życzeń
12.40 Telewizyjny informator wydawniczy
13.00 Życ — magazyn ekologiczny
13.30 Telewizyjny Teatr Prozy: Fiodor Dostojewski — „Łagodna”. Reż. Janusz Warmański
15.05 Polityka, politycy
15.35 Filmy o miłości: „Ostatni dzień lata” prod. TVP
16.40 Flesz — magazyn muzyczny
17.15 Teleexpress
17.30 Polska walcząca (1939—45): Polityka zagraniczna rządu gen. Władysława Sikorskiego (1)
18.30 Butik
19.00 Dobranoc: Przygody Misia Colargola
19.10 Z kamerą wśród zwierząt
19.30 Dt
20.05 „Skarb Pancho Villa” — western prod. USA
21.40 Sport
22.00 Tydzień w polityce
22.10 Tele-Gram — program rozrywkowy Marka Kasza i Lecha Nowickiego
22.55 Telegazeta i jutro w programie
23.05—0.30 Literatura i Eros: „Wencjanka” — film prod. wł.

PROGRAM II

13.15 Konkurs 5 milionów — współzawodnictwo sportowe szkół podstawowych
14.00 Bariery — program ludzi niepełnosprawnych
14.25 Casus Woroneż
14.30 „Ordy” — film animowany prod. japoń.
14.55 Oni w filmach s-f
15.05 Co o nich sądzą? — Andrzej K. Wróblewski
15.10 Spektrum
15.25 Meandry architektury
15.45 Słońce nasza gwiazda
15.55 Co o nich sądzą? — Maciej Hłowiecki
16.00 „Zwierzęta Półwyspu Olimpijskiego” — film dok.
16.25 Studio sport
16.55 Powitanie
17.00 Program rozrywkowy
18.00 Telewizyjna Panorama Lubelska
18.30 Godzina z Korą
19.30 Kwiat magnolii — konkurs tańca towarzyskiego
20.00 Messiaen — film dok.
21.00 Muzyka i polityka: Pieśni skarży i przysięgi
21.30 Panorama dnia
21.45 „Bogate biedactwo, czyli historia życia Barbary Hutton” (2) — serial fab. prod. ang.
22.35 Jacek Stwora: Co jest za tym murem (4): „Ma milicja słabych pracowników”
22.50—22.55 Komentarz dnia

Niedziela19 listopada
PROGRAM I

8.55 Program dnia
9.00 Dla młodych widzów: Teleranek, a w nim „Janka” (9) — serial prod. TVP
10.30 Dt — wiadomości
10.35 „Zwierzęta Europy” (5) — se-

riał przyr. prod. franc.
11.05 Kraj za miastem
11.35 Telewizyjny koncert życzeń
12.20 Teatr dla Dzieci: Barbara Biel — „Dary Wiatru Północnego” (1)
13.10 Sportowa niedziela
14.05 Morze — magazyn public.
14.25 Pieprz i wanilia: Z wiatrem przez świat: Wyspy Kanaryjskie
15.10 Antena
15.35 „Panna dziedziczka” (28) — serial fab. prod. brazył.
17.15 Teleexpress
17.30 Widowisko public.
18.10 Rewia kwiatowa — widowisko rozrywkowe
19.00 Wieczorynka: Siostrzeńcy Kazora Donald
19.30 Dt
20.05 „Tanamera” (5) — serial fab. prod. ang.
21.00 Siedem dni: Świat
21.30 Sport
22.10 Telegazeta i jutro w programie
22.15—23.05 Premiery po latach: „Dom naprzeciw kościoła” — film dok. J. Zielonackiego i „Vedetta” — film dok. U. Makowieckiej

PROGRAM II

9.50 Przegląd tygodnia (dla niesłyszących)
10.25 „Tanamera” (5) — serial fab. prod. ang. (dla niesłyszących)
11.15 Krótkofalowcy — wojskowy program public.
11.45 Jutro poniedziałek
12.20 Polska Kronika Filmowa
12.30 100 pytań do...
13.10 Kino rodzinne: „Niebezpieczna zatoka” — serial przyg. prod. kanad.
14.00 Aktualności kulturalne
14.15 „Polacy” — film dok.
15.00 Podróże w czasie i przestrzeni: Wędrowki ludów nad Pacyfikiem (3) — serial dok. prod. australijskiej
15.55 Być tutaj — gawęda prof. Wiktorina Zina
16.10 Odzyska, żeby rzec, że słońce świeci — poezja Osipa Mandelstama
17.00 Studio sport
17.30 Bliżej świata — przegląd telewizyjny satelitarny
18.45 Rzecznik praw obywatelskich, prof. Ewa Łętowska w programie Irenej Dziedzic
19.30 Galeria 37 milionów
20.00 Studio sport: Piłka w grze
20.55 Przemysław Gintrowski i przyjaciele
21.30 Panorama dnia
21.45 „Wojna i pamięć” (12) — serial fab. prod. USA
22.45 Akademia wiersza
22.55—23.00 Komentarz dnia

Poniedziałek20 listopada
PROGRAM I

16.20 Program dnia i Telegazeta
16.25 Luz — program nastolatków
17.15 Teleexpress
17.30 Gorące linie
18.00 Wędrowki dalekie i bliskie: „Cytadela Namur” — film dok. prod. belgijskiej
18.45 10 minut
19.00 Dobranoc: Ja ci jeszcze pokażę
19.10 W Sejmie i Senacie
19.30 Dt
20.05 Teatr Telewizyjny: Ettore Scola „Szczególny dzień”
21.20 Sport
21.30 XXI Międzynarodowy Festiwal Jazzowy „Jazz Jamboree'89” — Michael Becker Band
22.10 Obok nas: „Kowal, złodziej boży” — reportaż
22.40 Dt — echa dnia
PROGRAM II
17.25 Program dnia
17.30 Antena „Dwójki” na najbliższy tydzień
17.45 Ojczyzna — polszczyzna: Znów o akcencie
18.00 Telewizyjna Panorama Lubelska
18.30 Czarno na białym — przegląd pki
19.10 Do gwiazd jest bliżej niż krok

— recital Stefana Zacha
19.30 Życie muzyczne — Tarnowski Tydzień Talentów'89
20.00 Auto-Moto-Fan-Club
20.40 „Dom Rogo” — reportaż Michała Fajbusiewicza
21.15 Gawędy Juliusza Lubicz-Lisowskiego
21.30 Panorama dnia
21.45 Biografie: „Rubens — malarz i dyplomata” (1) — serial prod. belgijskiej

Wtorek21 listopada
PROGRAM I

8.35 Domator
8.50 Domowe przedszkole
9.15 Dt — wiadomości
9.25 „Pieniądz” (1) — serial prod. franc.
10.50 Domator
16.20 Program dnia i Telegazeta
16.25 Dla dzieci: Tik-Tak oraz film „Cudowna podróż” — serial animowany — prod. austriackiej
17.15 Teleexpress
17.30 Spożyczenia
17.55 Klinika Zdrowego Człowieka
18.15 System
18.45 10 minut
19.00 Dobranoc: Wesołe przygody Pi-ka, Kwika i wieloryba Grubaska
19.30 Dt
20.15 „Pieniądz” (1) — serial prod. franc. wg powieści Emila Zoli
21.40 Sport
21.50 Zawsze po 21-szej — magazyn reporterów
22.30 Wódka, pozwól żyć
23.00 Dt — echa dnia

PROGRAM II

17.25 Program dnia
17.30 Klub ludzi z przeszłością
18.00 Program lokalny
18.30 Modlitwa wieczorna — transmisja z Jasnej Góry
18.50 Studio Solidarność
19.30 Studio sport
20.00 Non stop kolor
21.00 W kręgu sztuki: „Dzieje fotografii” (7) — serial dok. prod. ang.
21.30 Panorama dnia
21.45 „Laureat” film TVP. Reż. Jerzy Domaradzki
22.35 Komentarz dnia

Środa22 listopada
PROGRAM I

8.35 Domator
8.50 Domowe przedszkole
9.15 Dt — wiadomości
9.25 „Panny — film TVP
10.25 Domator
16.20 Program dnia i Telegazeta
16.25 Dla dzieci: Kameleon
16.50 Dla dzieci: Wyprawy prof. Ciekawskiego
17.15 Teleexpress
17.30 Sensacje XX w.
17.35 Telewizyjny informator wydawniczy
18.15 Dawniej niż wczoraj
18.45 10 minut
19.00 Dobranoc: Porwanie Baltazara Gąbki
19.10 Oferty Pegaza
19.30 Dt
20.05 „Szansa” — film fab. TVP.
21.35 Sport
21.45 Wokół wielkiej sceny — magazyn operowy
22.35 Dt — echa dnia

PROGRAM II

17.25 Program dnia
17.30 997 (1) — kronika kryminalna (wydanie specjalne)
18.00 Telewizyjna Panorama Lubelska
18.30 997 (2) — kronika kryminalna
19.00 „Hotel „Zacisze” (6) — serial
19.30 Zwierzęta wokół nas
20.00 997 (3) — kronika kryminalna
21.00 „Ze wszystkich stron na Berlin” — reportaż Marka Osajdy
21.30 Panorama dnia
21.45 „W labiryncie” — serial TVP
22.15 Telewizja nocą
23.00 Komentarz dnia

relacje

ADRES REDAKCJI
20-029 LUBLIN, UL. M. CURIE-SKŁODOWSKIEJ 2
20-950 LUBLIN, SKR. POCZT. 231



TELEFONY
● 215-57 ● SEKRETARIAT RED. NACZELNY
● 205-34 ● SEKRETARZE REDAKCJI
● 202-91 ● 208-59 ● 233-88 ● DZIENNIKARZE

ZESPÓŁ

EWA CZERWIŃSKA (II SEKRETARZ REDAKCJI) ● MIROSŁAW DERECKI ● TERESA DRAS (REDAKTOR TECHNICZNY)
ZBIGNIEW DZIECIÓLEK ● WIESŁAW HORABIK ● VIOLETTA KRASNOWSKA ● HENRYK PAJĄK ● ANDRZEJ W PAWLUCZUK
WALDEMAR PIASECKI ● FRANCISZEK PIĄTKOWSKI (REDAKTOR NACZELNY) ● MACIEJ PODGÓRSKI (SEKRETARZ
REDAKCJI) ● WALDEMAR STĘPIEN (FOTOREPORTER) ● LESZEK WIŚNIEWSKI (Z-C.A. REDAKTORA NACZELNEGO)
IZABELLA WŁAZŁOWSKA WSPÓŁPRACOWNICA MICHAŁ ZIELIŃSKI ● JANUSZ WRONA GRAFIKA KRZYSZTOF LAMCH
KOREKTA BARBARA CABAN MASYNOPISANIE BARBARA JASTRZEBSKA ● TERESA STERLUS SEKRETARIAT ANNA
WOJTCWICZ KOREKTA GRZEGORZ BORZĘCKI

WYDAWCA

Lubelskie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa—Książka—Ruch”, ul. Jasna 6, 20-077 Lublin, tel. 255-30.

DRUK

Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, ul. Unicka 4, 20-126 Lublin, tel. 77-35-71.

Redakcja nie zwraca tekstów nie zamówionych, zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów i zmiany tytułów w nadesłanych materiałach.

Informacji o prenumeracie na kraj i zagranicę udzielają oddziały Przedsiębiorstwa Upowszechniania Prasy i Książki RSW „Prasa—Książka—Ruch” i urzędy pocztowe. Nr indeksu: 37409 PL ISSN 0660-8830.

Ogłoszenia przyjmują: redakcja i Biuro Ogłoszeń i Reklam., 20-950 Lublin, al. Racławickie I, tel. centrali: 200-61.

Zam. 1616, 6.11.1989, B-3.

AD VOCEM

CENZURA

MOWI się coraz częściej o zniesieniu cenzury, przy czym u nas ma to nastąpić „ewolucyjnie” (por. „Relacje” nr 40). Tymczasem cenzura przeszła już swoją ewolucję. „Z drobnych początków zrodzona — pisze rzymski historyk Liwiusz, dla roku 443 p.n.e. — instytucja ta tak się później rozrosła, że miała nadzór nad obyczajami i wychowaniem w Rzymie, rozstrzygała w senacie i w centuriach rycerskich o czci lub pozbawieniu tejże obywateli, miała wgląd w publiczne i prywatne stosunki majątkowe...”. Cenzorzy rzymscy (censores) czekali swobodnie i niezawisłe oraz przede wszystkim według zasad słuszności. Jako sankcją dysponowali głównie notą cenzorską (nota censoria), potępiającą obywatela w opinii publicznej z powodu niemoralnego uczynku.

Rolę strażników obyczajów przejęli z czasem sami cesarze, począwszy od Augusta, który wniósł wiele do prawa strzegącego moralności, zwłaszcza małżeńskiej (a przeciwko nieobyčajnościom pozamałżeńskim). Odczuł to szczególnie Owidiusz, skazany na wygnanie m.in. za niemoralne treści swych wierszy o sztuce kochania (u nas Wisłocka ma się dobrze).

Nie było jednak w Rzymie cenzury prewencyjnej, pozwalającej na wstrzymanie druku lub wykreślenia. Ta pojawia się wraz z cenzurą kościelną. Wedle prawa kanonicznego, Kościół miał i ma prawo cenzurować publikacje z punktu widzenia zachowania nieskazitelności wiary i obyczajów.

Znana nam cenzura polityczno-obyčajowa chroni z kolei serca i umysły obywateli przed treściami politycznymi i ideowymi (ale też obyczajowo) szkodliwymi, nie mówiąc o obronie ustroju przed wszystkim, co mogłoby „nawoływać do obalenia, lżyć, wyszydzać lub poniżać”.

Już z tego widać, jak trudne jest życie cenzora. Ale nadchodzi pocieszenie! Oto cenzura, ten ewolucyjnie przez wieki ukształtowany nadzorca praw i obyczajów, ma być — również ewolucyjnie — zniesiona. Co wyniknie z tej ewolucji do kwadratu? Zniknie zapewne złe prawo, ale czy wystarczy dobrych obyczajów?

Arcus M.

„PRZYPRAWIENIE
ROGÓW
MOJRZESZOWI”

W archiwum księcia Czartoryskiego znaleziono rachunek, przedłożony ongiś ks. Augustowi Poniatowskiemu, za roboty snycerskie wykonane w czasie restauracji kościoła w Krakowie. Rachunek brzmi:

1. Za wykonanie brody Bogu Ojcu — 9 zł
2. Za konia pod św. Jerzego — 35 zł
3. Trzy dziewice gołe dla św. Mikołaja — 50 zł
4. Przyprawienie rogów Mojrzeszowi*) — 20 zł
5. Wyczyszczenie św. Jadwigi z przodu i z tyłu — 60 zł
6. Zrobienie dziecka św. Elżbiecie — 22 zł
7. Wyzłocenie galek św. Jackowi — 21 zł
8. Zatkanie dziury św. Barbarze — 7 zł
9. Skrzypce dla św. Augustyna — 16 zł
10. Dorobienie ogona św. Duchowi — 12 zł
11. Dorobienie nogi św. Łazarzowi — 12 zł

Razem: 356 zł

*) zachowana pisownia oryginalna.



Awersy i rewersy XIX-wiecznych zdjęć lubelskich fotomistrzów
Fot. ze zbiorów autora

TRUDNO dziś ustalić, kto był właścicielem pierwszego zakładu dagerotypowego w Lublinie. Wiadomo tylko, że około roku 1846 działał tu niejaki A. Benny. Był to zapewne wędrowny fotograf, którego pracownia mieściła się prawdopodobnie w Hotelu Saskim przy Krak. Przedm. nr 141 (dziś 23).

Pierwszym zawodowym dagerotypistą lubelskim był od roku 1847 Józef Nowaczyński (zm. 1886), który w r. 1880 notowany jest jako „właściciel drukarni i litografii w mieście Lublinie”.

W marcu 1856 r. przyjechali do Lublina dwaj berlińscy fotografowie: Ernst i Filitz, którzy otworzyli swój zakład w Hotelu Bawarskim Józefa Przybylskiego przy Krak. Przedm. nr 133 (dziś 11). Anonsowali się w prasie stołecznej, iż zajmują się „zdejmowaniem portretów na papierze i na srebrnych płytach podług Daguera”. Informują też lublinian, że „zamierzeli okazywać w teatrze miejscowym obrazy optyczne podług systemu Groppiusa” („Kurier Warszawski” 1856, nr 60).

W kilka lat później, 4 listopada 1864 r., niejaki Karol Grundhand zwrócił się do magistratu lubelskiego z prośbą: „Pragnąc nadal utrzymywać w tu-tejszym mieście w domu pod Nrem 167 [dziś Krak. Przedm. 66] zakład fotograficzny, [...] upraszam Szanowny Magistrat o wyjednanie mi na ten cel potrzebny konsensu”. Magistrat przychylił się do prośby Grundhanda, który 17 czerwca 1865 roku otrzymał żądany konsens (Archiwum Państwowe w Lublinie, Akta wydanych konsensów 1858—1862, sygn. 1361, k. 293).

Z kolei 27 marca 1866 r. prośbę do magistratu „w celu utworzenia zakładu fotograficznego i trudnienia się tym fachim” wniósł Aleksander Nowaczyński (1845—1873). Dalej pisze: „posiadam sztukę fotograficzną i mogę rywalizować swemi wyrobami z pierwszymi zakładami warszawskimi, przekonywając moje wykończenie już wielu fotografii, które przez znawców za dokładne uznane zostały”.

Warto wspomnieć, iż 31 stycznia 1872 r. Nowaczyński poślubił w kościele katedralnym córkę kasjera magistrackiego, Marię Witoszyńską, która po śmierci męża dalej prowadziła zakład fotograficzny. W końcu 1875 r. Nowaczyń-

to zakład nowoczesny, składający się „z sali do przyjęcia i altany, w której urządzone jest sładny budurek do spoczynku i poprawienia ubioru, a przy takowych jest odpowiednie laboratorium; zaś od frontu są trzy wystawki fotografii różnych rozmiarów Jest to jak u nas zakład pod każdym względem pomiędzy tutejszymi zakładami, tak starannym wykańczaniem fotografii, jak i rozlicznymi do tego potrzebnymi przyrządami, przodujący”.

Od roku 1869 w tymże samym hotelu mieli pracownię dwaj fotomistrzowie warszawscy: Grochowski i Twardzicki. Od tego roku rozpoczęła się rywalizacja obu zakładów. Chicińska, czując się osamotniona, poślubiła 20 kwietnia 1879 r., w kościele katedralnym Andrzeja Płaczkowskiego, który przeniósł zakład do sąsiedniej kamienicy, tj. przy Krak. Przedm. nr 146 (dziś 29), urządzając go „z wszelkimi wymaganiami i dogodnościami”.

Z wiosną 1874 r. zjechał do Lublina znany fotomistrz warszawski, Leonard Kowalski, który umieścił swój zakład w domu p. Terleckiego przy Krak. Przedm. nr 165 (dziś 72). Zaanonsował się w miejscowym „Kurierze” w następujący sposób: „Wykonuję fotografie wszelkich rozmiarów, a mianowicie: portrety, grupy składowe z pojedynczych osób, kopie z sylwetek aż do naturalnej wielkości, kopie z planów potrzebne do Towarzystwa Kredytowego, heliomiatury olejnymi farbami, fotografie kolorowane itp. w zakresie czynności fotograficznych”.

Wspomniana Wanda Chicińska-Płackowska była autorką pierwszego albumu poświęconego zabytkom Lublina. Oto, co sama pisze na ten temat:

„Lublin należy do najstarszych grodów naszego kraju, posiada wiele architektonicznych zabytków, zasługujących na to, aby się ogół z nimi bliżej zapoznał. Tą myślą powodowana, przedsięwzięłam wydawnictwo fotograficznego albumu m. Lublina, sądząc, że takowe będzie miłym nabytkiem dla każdego, a także posłuży jako przewodnik dla przybywających do naszego miasta. Wierząc w to, że wydawnictwo moje znajdzie poparcie, nie szczędziłam pracy i kosztów, aby artystyczna część była jak najstaranniej wykonaną. Usilo-

FOTOGRAFIE
KOMPLETNIPIĘKNIE
WYKOŃCZONE

Ludwik Gawroński

ska przeniosła swój zakład do Warszawy, gdzie 29 kwietnia 1876 r., w kościele św. Krzyża, poślubiła Władysławę Sulkowską („Gazeta Lubelska” 1876, nr 52, s. 1).

Po roku 1863 wzrasta w Lublinie liczba zakładów fotograficznych, których właściciele reklamują się w lokalnej prasie. Oto anons Marcellego Rzymkowskiego:

„Widzimy słusznym zwrócić uwagę czytelników naszych na zakład fotograficzny p. M. Rzymkowskiego. Przy ulepszającej się z każdym dniem sztuce fotograficznej, pan Rzymkowski nie pozostał w tyle za innymi swymi kolegami, owszem jak w Lublinie jest to jedyny zakład, z którego wychodzą fotografie kompletnie pięknie wykończone. Oglądaliśmy w tych dniach fotografie pojedynczych osób i całe grupy z taką wykonaną dokładnością, że je śmiało na równi ze znanymi fotografiami warszawskimi pp. Mieczkowskiego, Bayera i Sachowicza stawiać możemy. Pan Rzymkowski wzbogacił swój zakład świeżo z granicy sprowadzonymi maszynami i preparatami, a nie szczędząc wydatków i pracy, prawdziwą przysługę ogółowi wyświadcza” („Kurier Lubelski” 1866, nr 89).

We wrześniu 1866 r. otworzył swój zakład przy ulicy Rybnej 67/68 Władysław Grabowski. Reklamował się, iż wykonuje „wszelkiego rodzaju fotografie po cenach umiarkowanych, z czym poleca się Szanownej Publiczności, zapewniając dokładne wykończenie powierzonych mu robót”.

W rok później w Hotelu Europejskim powstała firma Wandy Chicińskiej. Był

wałam przeto wybierać jak najkorzystniejsze pozycje przy zdejmowaniu widoków, by odtworzyć należycie tak całość, jak i szczegóły...”

Album składał się z pięciu zeszytów; każdy zeszyt zawierał 4 zdjęcia o wymiarze 15,3×20,5 cm, naklejone na karton. Pierwszy zeszyt pt. ALBUM LUBELSKIE ukazał się 1 maja 1875 roku. Cena całego albumu wynosiła 6 rb. Dziś jest on białym krukiem. A może ktoś z Czytelników posiada ów album?

Warto wspomnieć, iż w owym okresie reklamowali zabytki Lublina znani artyści malarze i rysownicy, jak: Aleksander Gierymski, Michał Elwiro Andrioli czy Władysław Sandecki, którego mały album, złożony z sześciu widoków „zdjętych” z natury, wydała lubelska księgarnia Michała Arcta w 1887 roku.

W latach siedemdziesiątych XIX stulecia przy ulicy Królewskiej nr 201 (dziś 7) miał swój zakład fotograficzny Franciszek Zeliński, który 8 lutego 1874 roku zrzekł się go na rzecz miejscowego litografa W. Czempińskiego.

W końcu XIX wieku istniało w Lublinie kilka zakładów fotograficznych, wśród nich — cieszący się znakomitą renomą — Stanisława Zawadzkiego przy ulicy Gubernatorskiej nr 1 (dziś Dymitrowa), zakład R. Bonieckiego przy Kapucyńskiej nr 5 (dziś J. Osterwy) oraz cztery zakłady przy Krak. Przedmieściu, tj. Jaworowskiej w hotelu „Victoria”, firma „Zofia” (s-ka Zofia Miłaszewska i Edward Radzikowski) pod n-rem 50, Jan Wasilewski i Adam R. Kłossowski pod n-rem 54 i zakład Wiktorii Sierocińskiej (z domu Nowaczyńskiej) w klasztorze pokapucyńskim.